



Chery Arguile



*Hotel
złamanych serc*

ROZDZIAŁ 1

- Zastanawiam się, czemu chce się z nami spotkać. - Emma Brenner spojrzała na siostrzenicę z ukosa. Zabębniła palcami po stole. - Nie myślisz, że kryje się za tym znowu ten facet z urzędu finansowego?

Marisa Brenner pokręciła głową tłumiąc śmiech. Niechęć ciotki do wszelkiego rodzaju instytucji i urzędów przybrała ostatnio na sile.

- Na litość boską, ciociu Emmo, chodzi pewnie tylko o kilka dokumentów, które jeszcze musimy podpisać. Po co się martwisz zawczasu? - Marisa podała Emmie filiżankę z herbatą i usiadła.

- Ach, te papiery! Od kiedy odziedziczyliśmy ten dom, spędziłyśmy już mnóstwo czasu na podpisywaniu najrozmaitszych dokumentów. - Emma odstawiła filiżankę i uderzyła obiema dłońmi o stół tak mocno, że zabrzęczały łyżeczki, a dzbanek z herbatą podskoczył.

Ciotka była naprawdę zła. Marisa pogładziła ją po ręce.

- Nie denerwuj się tak, ciociu - powiedziała uspokajającym tonem. - Jestem pewna, że chodzi o jakiś drobiazg. Pan Beal jest dobrym adwokatem. Poradzi sobie ze wszystkimi problemami, jakie mogą wyniknąć w naszej sprawie.

Emma uśmiechnęła się lekko.

- Zdaje się, że reaguję przesadnie - wzruszyła ramionami. - Wiadomość od adwokata nie musi przecież zaraz oznaczać kłopotów, prawda?

Marisa skinęła głową, chociaż miała niejasne przeczucie, że jakieś niebezpieczeństwo wisi w powietrzu. Pan Beal był wyraźnie przestraszony przez telefon. Nie zaniepokojony, a właśnie przestraszony. Zastanowiło to Marisę, bowiem Peter Beal był zazwyczaj uosobieniem spokoju i opanowania. Nic nie było w stanie wytrącić go z równowagi.

- Hmm - odezwała się Emma po namyśle. - Jesteśmy jedynymi krewnymi Desmonda. Nikt nie może rościć sobie pretensji do spadku po nim.

- Mam nadzieję - jęknęła Marisa. - Suma, jaką włożyliśmy w ten dom, każe mi nienawidzić jakiegokolwiek myśli o innych spadkobiercach.

Pół roku temu przyjechały tu na wieść o nieoczekiwanym spadku. Po pierwszych oględzinach tej spuścizny miały ochotę czym prędzej powrócić na lotnisko Heathrow. Posiadłość okazała się kupą gruzu.

Żwirowy podjazd i trawniki zarośnięte były chwastami i pokryte odpadkami. Trawa oczywiście nie była strzyżona od niepamiętnych czasów, a dom sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał runąć. Cztery szyby w oknach były zbite, w schodkach prowadzących na werandę brakowało kilku stopni, drzwi wejściowe były odrapane i brudne.

Emma wzięła Marisę pod rękę i razem weszły do starego domu. Wewnątrz było jeszcze gorzej. Każdy pokój wymagał położenia nowych tapet i nowej wykładziny. Wszystkie firanki i meble wymagały gruntownego oczyszczenia.

Emma i Marisa spędziły niezliczone godziny na porządkowaniu zapuszczonego domostwa. Walczyły z brudem, który się tu nagromadził od strychu po piwnice przez ponad dwadzieścia lat. Wygrały tę walkę i teraz stały się właścicielkami małego uroczego hotelu w Leicestershire.

Dokończyły w milczeniu herbatę. Nie chciały się już denerwować omawianiem porannego telefonu od adwokata.

- Możesz spokojnie wrócić do pracy - odezwała się Emma wstając od stołu, żeby zebrać naczynia. - Powiem ci, kiedy nadejdzie pora wyjazdu. W Kettering mamy być dopiero o trzeciej.

Marisa poszła na górę do swego atelier. Pierwotnie była to część strychu. Marisa kazała wmontować wielkie okno w spadzistym dachu i pomalować ściany na biało. Dodatkową ścianą wydzieliła swoje studio z reszty strychu.

Ta przeróbka kosztowała ją masę pieniędzy, ale w sumie wdzięczna była ciotce Emmie, że ją namówiła do tego. Ciotka wierzyła w jej talent malarski i chciała, żeby Marisa miała odpowiednie warunki do pracy.

Usiadła na wysokim stołku przy sztalugach. Przez kilka następnych godzin pokrywała płótno delikatnymi pociągnięciami pędzla.

- Jazda samochodem jest tu takim samym koszmarem, jak w zatłoczonym Los Angeles - mruknęła Marisa.

- Po prostu nie przyzwyczyłaś się jeszcze do lewostronnego ruchu - odpowiedziała Emma. Dojeżdżały już do Kettering. - Kiedy nabierzesz wprawy, będziemy śmigać, jak po amerykańskich autostradach.

- Nie wiem, czy to kiedykolwiek nastąpi - jęknęła Marisa. - Poszukaj miejsca do zaparkowania.

W długim szeregu samochodów nie znalazła się jednak żadna luka i musiały zaparkować kilka bloków dalej. Pospiesznie wysiadły z samochodu, żeby się nie spóźnić na spotkanie z adwokatem.

Kancelaria pana Beala mieściła się na najwyższym piętrze starej eleganckiej kamienicy. Marisa odetchnęła z ulgą, gdy znalazły się w środku. Przemarżała na jesiennym chłodzie mimo grubej bluzki i wełnianego swetra.

Nacisnęła guzik ściągając windę i nie patrząc na ciotkę. Wiedziała, że Emma zaraz zauważy jej niepokój, spowodowany tym nagłym telefonem od adwokata wuja Desmonda.

- To bardzo ważne - powiedział. Peter Beal nigdy nie dramatyzował i nie przesadzał. Jeżeli już, to odwrotnie. I właśnie dlatego Marisa tak bardzo się przejęła. Musiała to być jakaś pilna i zapewne niemiła sprawa.

Recepcjonistka wprowadziła obie panie do gabinetu adwokata.

- Dziękuję paniom za przybycie - Peter Beal przywitał się z Marisą i Emmą i wskazał im dwa fotele obite czarną skórą. - Zechcą panie spocząć.

Beal był wysokim przystojnym mężczyzną o ciemnych włosach siwiejących na skroniach. Nienagannie ubrany wyglądał jak aktor z hollywoodzkiego filmu grający mecenasa.

Jako adwokat Desmonda Freemonta prowadził sprawę spadku po nim. Bardzo się zaangażował w przeniesienie się obu pań za ocean pomagając im we wszystkim. Dzięki jego pomocy było łatwiej zaadaptować się w nowych warunkach.

Peter Beal usiadł za biurkiem i przyjrzał się swoim gościom z namysłem. Marisa siedziała wyprostowana jak świeca, Emma zaś wierciła się nerwowo.

Adwokat odchrząknął. - Zapewne zastanawiają się panie, dlaczego je wezwałem. - Mówił powoli ważąc każde słowo.

Emma skinęła głową, Marisa natomiast nawet nie drgnęła.

- Niestety ma to związek z hotelem - powiedział spokojnie.

Obie kobiety patrzyły na niego w milczeniu, oczekując jakiegoś bliższego wyjaśnienia.

Peter westchnął. - Przykro mi, ale pan Freemont przedsięwziął pewne kroki bez porozumienia się ze mną. Mają one bezpośrednie odniesienie do prawa własności hotelu.

Marisa otworzyła oczy szerzej, a Emma pobladła wyraźnie. Peter zerwał się z miejsca bojąc się, że zemdleje. Wyszepiała z trudem:

- O czym pan mówi, na litość boską?

- Niech się pani nie denerwuje, Emmo. Zatrzymają panie hotel - a przynajmniej w połowie.

- W połowie? Co to ma znaczyć? Połowa! - krzyk Marisy przeciął powietrze. Wychyliła się do przodu, jakby miała zamiar skoczyć na adwokata i go udusić. Emma przytrzymała siostrzenicę za ramię.

- Bardzo mi przykro - ciągnął dalej Peter. - Pozwolą panie, że zacznę jednak od początku. - Obrzucił kobiety stanowczym spojrzeniem, zmuszając je do zachowania spokoju. - Nie znają panie wszystkich szczegółów życia Desmonda. Ten hotel był wspólnym przedsięwzięciem małżeństwa Freemontów. Dzięki wyteżonej pracy obojga zyskał sobie sławę najlepszego pensjonatu w okolicy. Ale po śmierci pani Freemont przed dwudziestu laty, Desmond stracił serce do tego hotelu. Nie remontował go, zaniechał jakichkolwiek inwestycji. Udostępniał pokoje tylko starym gościom, którzy zawsze się u niego zatrzymywali i w ten sposób zarabiał na życie. Z niewiadomych powodów potrzebował na krótko przed śmiercią większej sumy w gotówce. - Peter przerwał na chwilę, żeby zaczerpnąć tchu. - Udało mu się pożyczyć te pieniądze. W zastaw dał połowę hotelu. Mężczyzna, który pożyczył mu pieniądze, jest w posiadaniu papieru podpisanego przez Desmonda, który wyraźnie stwierdza, że w przypadku niezwrócenia pożyczki, będzie właścicielem połowy hotelu.

Marisa miała wrażenie, że śni się jej jakiś koszmarny sen, z którego za chwilę się obudzi. Pokój zaczął jej wirować przed oczami. Jakby z daleka usłyszała głos Emmy.

- Dlaczego nikt nas o tym nie poinformował? Dlaczego nie wiedzieliśmy o tym fakcie?

Peter westchnął. - Desmond nigdy mi o tym nie wspominał. Ja sam usłyszałem o tym od adwokata reprezentującego interesy tego pana. Ani w testamencie Desmonda, ani w jego sejfie nie było wzmianki o tej transakcji. Nie mam pojęcia, na co musiał się tak zapożyczyć.

- A co to oznacza dla nas? - Emma zadała to pytanie spokojnym głosem. Jako pierwsza odzyskała równowagę. Chciała wiedzieć, na czym stoi.

- Fakty wyglądają tak, że należy do pań tylko połowa hotelu. Druga część jest własnością Teda Lawrence'a, chyba że panie ją od niego odkupią.

Marisa drgnęła. Peter wiedział przecież dobrze, że ich skromne środki dawno się już wyczerpały. Chciał być tylko uprzejmy.

- Pan Lawrence jest dziennikarzem. Przebywał dłuższy czas w Kanadzie i dopiero przed dwoma miesiącami dowiedział się o śmierci Desmonda. Pozwoliłem sobie zaprosić go tutaj. Uważam, że należy tę sprawę jak najszybciej wyjaśnić.

- Jak on się nazywa? - spytała Emma.

- Lawrence. Ted Lawrence. Powinien zjawić się tu lada moment. Był tak samo jak panie zaskoczony tym nieoczekiwanym obrotem sprawy.

- Zna go pan? - odezwała się Marisa zmienionym głosem.

- Tak. Wygląda na rozsądnego człowieka. Mam nadzieję, że razem znajdziemy rozwiązanie zadowalające obie strony.

- Zadowalające rozwiązanie? Pan raczy żartować! W żaden sposób nie będziemy w stanie spłacić tego pana. Nie wyobrażam też sobie, żeby mógł uczestniczyć w zyskach z hotelu. Z tego nie da się wyżyć.

- Proszę cię, Mariso - przerwała jej ciotka. - Pan Beal chce nam przecież pomóc. Pozwól mu mówić dalej.

- Przepraszam - mruknęła Marisa.

A niech to wszystko szlag trafi! - pomyślała. Nie mają żadnego wyboru. Muszą wysłuchać adwokata i zgodzić się na jego propozycję. Wszystko poszło na marne! Ogarnął ją bezsilny gniew. W Stanach było im bardzo ciężko. Marisa pracowała jako służąca, żeby zarobić na studia w Akademii Sztuk Pięknych.

Emma dawała się wyzyskiwać w biurze przez czternaście lat. Czternaście długich lat bez możliwości awansu! Nieoczekiwany spadek po wuju sprawił, że zaczęły mieć nadzieję na lepsze życie. Tu, w Anglii miały być wreszcie paniami swego losu. A teraz coś takiego!

Marisa zamrugała szybko oczami, żeby powstrzymać łzy piekące pod powiekami.

Milczenie przerwał sygnał interkomu, oznajmiający przybycie Lawrence'a.

- Proszę wpuścić pana Lawrence'a i przynieść dla niego herbatę - polecił recepcjonistce.

Wstał na powitanie gościa.

Ted Lawrence był wysokim przystojnym mężczyzną. Mierzył na pewno więcej niż metr osiemdziesiąt. Przy wzajemnej prezentacji Marisa zwróciła uwagę na jego oczy. Były tak czarne, że prawie nie można było rozróżnić ich źrenic. Wystające kości policzkowe i brązowa skóra kazały się domyślać jego nieangielskiego pochodzenia. Ten facet bardziej nadawał się na pirata albo na Indianina pędzącego przez prerię, niż na angielskiego dziennikarza.

Usiadł w fotelu wskazanym mu przez adwokata. Nogi wyciągnął swobodnie przed siebie. Ubrany był w sztruksowe spodnie, białą koszulę i sportową marynarkę, wyglądającą na dość drogą.

Przez chwilę w kancelarii panowała cisza. Przerwała ją recepcjonistka, która przyniosła tacę z herbatą i ciasteczkami.

Ted Lawrence wypił łyk herbaty przyglądając się z zainteresowaniem obu paniom. Nie był bynajmniej speszony niemiłymi okolicznościami, w jakich je spotkał.

- Panie Lawrence - zaczął Beal - jak pan wie, po śmierci pana Freemonta wynikł pewien problem. Jego spadkobierczynie, damy, które są tu obecne, nie wiedziały, że dał on w zastaw pod pożyczkę połowę hotelu.

- Już mi pan o tym mówił. Byłem wtedy w Kanadzie i nie można mnie o to obwiniać. - Lawrence mówił spokojnym, ale znudzonym głosem.

- Ale dlaczego pański adwokat nie skontaktował się z panem Bealem? - zapytała młodsza z kobiet.

Ted przyjrzał się jej uważnie zanim odpowiedział. Była urocza. Nieduża, zgrabna, jasnowłosa. W jej błękitnych oczach wyczytał gniew i strach.

- Mój adwokat nie miał pojęcia, że wynikły jakieś problemy - odezwał się łagodnie. - To była zwykła pożyczka. Desmond dał mi połowę hotelu jako gwarancję jej zwrotu. Potrzebował tych pieniędzy, więc mu je pożyczyłem. Pomogłem mu wiedząc, że na pewno spłaci dług. Był bardzo zadowolony.

- Czy ta transakcja była zgodna z prawem? - spytała Emma spokojnie.

- Tak, nosi wszelkie znamiona legalności - zapewnił ją Beal.

- I co teraz? Co mamy zrobić? Pan Lawrence chce pewnie dostać swoją część... - głos Emmy drżał.

- Jak już paniom mówiłem, pan Lawrence ma prawo do swojej połowy. Jeśli panie nie mogą zwrócić mu długu, zaciągniętego przez pana Freemonta, to musi dostać część hotelu.

- Chwileczkę - przerwał mu Lawrence. - Pożyczając Desmondowi pieniądze, chciałem mu z jednej strony oddać przysługę, a z drugiej strony zapewnić sobie spokojne miejsce do pisania. Wiem, że panie dopiero co dowiedziały się o moim istnieniu i o moich prawach do hotelu. Z pewnością przeżyły panie szok, dlatego też proponuję, żebyśmy spotkali się dziś wieczorem na kolacji w hotelu i omówili wszystko na spokojnie. Do wieczora każde z nas będzie miało dość czasu do namysłu.

Ta propozycja zabrzmiała rozsądnie. Marisie nie spodobał się wszakże lekko rozkazujący ton głosu Lawrence'a. Siłą woli powstrzymała wybuch gniewu. Nie chciała skompromitować ciotki. Chętnie zrezygnowałaby z czasu do namysłu, jaki im tak wspaniałomyślnie zaproponował. Tych kilka godzin niczego przecież nie zmieni.

Ted Lawrence ma prawo do „Three Feathers” i nic na to nie mogą poradzić. Poza tym nie miała najmniejszej ochoty na kolację w towarzystwie tego pana.

Myśli Marisy musiały się odbić na jej twarzy, zauważyła bowiem, że Lawrence przygląda jej się z szyderczym uśmiechem. Oczy ich spotkały się i Marisa zaczerwieniła się. Odwróciła czym prędzej wzrok. Miała wrażenie, że przegrała pierwszą walkę.

Podróż do domu upłynęła w milczeniu. Marisa była tak przejęta, że nawet nie narzekała na lewostronny ruch.

Podjeżdżając pod hotel zdała sobie nagle sprawę z tego, jak bardzo polubiła ten stary dom. Zrobiło jej się smutno.

- Mariso - odezwała się Emma - nie martw się zawczasu. Na pewno znajdziemy jakieś wyjście z tej nie milej sytuacji. Hotel należy do nas i nie mam zamiaru z niego zrezygnować.

Weszły do hotelu. Marisa zatrzymała się i spojrzała na ciotkę. W oczach Emmy, która nie skrzywdziłaby nawet muchy, migotały teraz wojownicze błyski.

Nie знаła ciotki od tej strony.

- Ciociu, może powinniśmy jednak sprzedać hotel i zwrócić dług Lawrence'owi. Za pieniądze ze sprzedaży mogłybyśmy się urządzić gdzie indziej.

- Nie, w żadnym wypadku - powiedziała Emma stanowczo i wyprostowała się dumnie. - Nie możemy z niego zrezygnować. Zwłaszcza ty. Pomyśl, po raz pierwszy masz możliwość spokojnej pracy. Wreszcie masz własne atelier z korzystnym oświetleniem. Możesz malować w komfortowych warunkach. A ja mam moją ukochaną szklarnię, która mi sprawia tyle satysfakcji. Znajdziemy jakieś rozwiązanie. Po prostu musimy zawsze starać się o komplet gości. Oznacza to naturalnie więcej pracy, ale nie chcesz chyba wracać do Los Angeles, żeby znowu zatrudnić się jako posługaczka, prawda, Mariso? Ja wcale nie tęsknię za biurem.

Po wypadku, który uczynił z Emmy wdowę, a z Marisy sierotę, nie było im lekko. Zostały same bez środków do życia. Małe przedsiębiorstwo transportowe, należące do rodziców Marisy i męża Emmy przestało istnieć po spłacie długów.

Przez czternaście długich lat ciężko pracowały, żeby z trudem związać koniec z końcem. Spadek w postaci hotelu w Anglii był dla nich szansą na lepsze życie. Był zabezpieczeniem finansowym, dzięki któremu Marisa mogła się poświęcić sztuce, a jej ciotka ogrodnictwu. Do hotelu należała szklarnia, trochę wprawdzie nadszarpnięta

zębem czasu, ale jednak nadająca się do użytku. Emma wyremontowała ją gruntownie i oddała się z zapalem hodowli cudownych roślin.

- Myślę, że odrobina alkoholu dobrze nam zrobi - powiedziała podchodząc do baru. Wyjęła z szafki butelkę drogiego koniaku i naląła trochę do podwójnych pękatych kieliszków. Jeden z nich podała siostrzenicy.

- Są pewnie ludzie, którzy mają większe problemy od naszych - westchnęła Marisa - ale takie mam wrażenie, że wszystko się na nas wali. Pojawienie się nowego spadkobiercy oznacza dla nas katastrofę.

- Zgadzam się z tobą, dziecko. Już, już wydawało się, że los nam wreszcie zaczął sprzyjać, a tu taka historia... Musimy zawrzeć jakiś pakt z tym Lawrence'em. Nie możemy ciągle być pod kreską. Jeśli mu zależy na odzyskaniu pieniędzy, to powinien okazać rozsądek.

Koniak był naprawdę dobry i Marisa mogła już zrozumieć ludzi, którzy topią swe smutki w alkoholu. Wzmacniał po prostu nerwy.

Emma wypła koniak jednym haustem i oświadczyła, że pójdzie teraz podlać kwiaty. Marisa została sama w barze. Nie miała dużo czasu. Za kilka minut musi zająć się przygotowaniami do kolacji.

Życie toczy się dalej, pomyślała niechętnie. W hotelu było dużo pracy. Miały z ciotką tylko dwie osoby do pomocy. Florence królowała w kuchni, a Janice, miejscowa dziewczyna, była pokojową. Do jej obowiązków należało sianie łóżek i podawanie do stołu. Brudną bieliznę oddawały do pralni.

Hotel „Three Feathers” nie był duży. Miał czternaście pokoi dla gości i pomieszczenia prywatne na trzecim piętrze. Zarówno Emma jak i Marisa miały mnóstwo roboty, ale ciotka nalegała, żeby Marisa malowała dwie godziny rano, po śniadaniu i później po południu.

Jadalnia znajdowała się zaraz obok holu. Było to duże przyjemne pomieszczenie, w którym było dość miejsca dla wszystkich gości, nawet przy pełnym obłożeniu hotelu. Nie zdarzało się ono jeszcze zbyt często ale już rozniosła się wieść po okolicy, że Amerykanki prowadzą całkiem przyzwoity hotel. Regularnie zatrzymywali się u nich biznesmeni, mający jakieś interesy w tych stronach.

Przyszedł im też z pomocą stary znajomy Emmy, właściciel biura podróży w Londynie. Już kilka razy podesłał im grupy turystów.

Marisa wypła koniak do końca, opłukała kieliszki i poszła do jadalni. Nakrywanie stołów do kolacji było jej ulubionym zajęciem, zwłaszcza teraz, jesienią, kiedy zachody słońca były takie cudowne. Tego wieczoru nie miała wprawdzie czasu

na podziwianie gry świateł, bo chciała jak najlepiej zaprezentować się przed Lawrence'em. Zaczęła ustawiać na stołach staroświecki serwis z chińskim motywem wierzby. Ted Lawrence do tego stopnia zaprzętał jej myśli, że nie mogła sobie nawet przypomnieć jadłospisu na dzisiejszy wieczór.

Zapaliła światło w jadalni i poszła szukać Janice. Pokojówka musiała dziś pomóc przy kolacji, bo obie panie miały gości. Przechodząc koło baru westchnęła. Kiedyś może znajdą się pieniądze na barmana z prawdziwego zdarzenia. Na razie musiały gości marzących o drinku odsyłać do pobliskiego pubu.

Znalazła Janice na pierwszym piętrze. Układała właśnie ręczniki w szafie na korytarzu.

- Poradzi sobie pani dzisiaj sama z kolacją? - spytała Marisa.

- Oczywiście, że tak - uśmiechnęła się dziewczyna. - Ma pani randkę?

Marisa ściągnęła brwi niechętnie. - Nie, Janice. Odwiedzą nas dwaj panowie, ale będzie to spotkanie natury służbowej.

- O, to szkoda - stwierdziła Janice i poprawiła na nosie okulary o grubych szklach, które jej się ciągle zsuwały. Marisa stale miała ochotę poradzić jej, żeby sobie kupiła szkła kontaktowe, ale nie mogła tego zrobić. Płacili jej przecież tak niewiele.

Poszła na górę przebrać się. Napięcie nerwowe nie opuszczało jej. Stała przed lustrem i przyjrzała się sobie. Nie miała najlepszego zdania o swojej urodzie. Zaliczała się raczej do przeciętnych. Długie jasne włosy związywała zazwyczaj w luźny węzełek na karku. Jej skóra miała teraz naturalny jasny odcień, nie była opalona, jak wtedy, gdy mieszkały w Kalifornii.

Tak, lato w Anglii nie rozpieszczało ich nadmiarem słońca. Po gorącym klimacie kalifornijskim trudno jej się było do tego przyzwyczaić.

Marisa wzięła prysznic, wysuszyła się i stanęła przed szafą zastanawiając się, co włożyć na dzisiejszy wieczór. Najczęściej chodziła w dzinsach i swetrach lub bluzach. Nie miała specjalnego wyboru wieczorowej garderoby. Wzrok jej padł na błękitną jedwabną suknię, jedną z niewielu wyjściowych kreacji. Była zupełnie nowa. Marisa nigdy jeszcze nie miała jej na sobie.

Suknia była absolutnie cudowna. Kupiła ją w zeszłym roku w Paryżu. Wspomnienie tego pobytu nadal było dla niej bolesne. Ilekroć wspominała Paryż, ogarniał ją gniew na siebie, na Nicka, na cały świat. Przestań już, Mariso, upominała siebie w duchu, zapomnij o tym. Kiecka kosztowała majątek i pora zrobić z niej użytek.

Ściągnęła sukienkę z wieszaka i rzuciła ją na łóżko. To nagłe uczucie gniewu dobrze jej zrobiło. Wyparło niepokój o hotel, który tkwił w niej cały czas. Wyciągnęła jedną z szuflad komody, żeby z niej wyjąć błękitną jedwabną bieliznę. Jej także nigdy jeszcze nie nosiła. Nie było już sensu odkładać tego na później. Musiała zerwać z przeszłością, musiała skończyć z nią raz na zawsze.

Założyła majteczki ozdobione koronką i biustonosz. Rozpuściła włosy i zerknęła w lustro.

Tak... Właśnie tak chciała wyglądać dla niego. Tylko dla niego. Ale wszystko już się skończyło. Boże, jaka ja byłam głupia, pomyślała samokrytycznie. Teraz też nie zachowywała się najmądrzej. Stroiła się dla faceta, którego przecież nie lubiła. Szkoda, że jej nie zobaczy w bieliźnie. Szkoda, że Nick jej nie zobaczy...

Marisa założyła sukienkę i rozczesała włosy. Nie chciała ich związywać, niech sobie spływają swobodnie po plecach. Zrobiła lekki makijaż i zerknęła na budzik przy łóżku. Było już późno. Musiała dopilnować przygotowań do kolacji. Nie chciała, żeby wystąpiły jakieś nieoczekiwane problemy.

Emma była już na dole. Schodząc ze schodów, Marisa usłyszała głos ciotki dobiegający z kuchni. Nie rozróżniała słów, ale odniosła wrażenie, że ciotka kontroluje sytuację.

Kucharka Florence trafiła do nich z miejscowego biura pośrednictwa pracy. Nie miała najlepszych referencji. Była wprawdzie wykwalifikowaną siłą i nie bała się pracy, ale miała kilka cech, które nie spodobały się jej poprzednim pracodawcom. Wyzywała na przykład warzywa najgorszymi słowami, no i klęła jak szewc. Emma uznała, że nie może jej zwolnić tylko z tego powodu. Florence pracowała zresztą chętnie za tę niewielką pensyjkę, jaką mogły jej zapłacić.

W jadalni wszystko było już dopięte na ostatni guzik. Marisa nie miała tu nic do roboty. Poszła więc do baru, żeby przygotować tacę z drinkami.

Recepcja nie była obsadzona. Jeśli któryś z gości czegoś potrzebował, posługiwał się srebrnym dzwonkiem, przyzywającym kogoś z obsługi. Była to zresztą oszczędność z konieczności, a nie z wyboru.

ROZDZIAŁ 2

Ted Lawrence odstawił butelkę z piwem i wyjrzał przez okno na główną ulicę Market Marborough. Zapadał zmierzch i światła samochodów rozbłyskiwały taką samą czerwienią jak zachodzące słońce. W Ottawie był teraz jeszcze jasny dzień.

Ted opuścił z powrotem firankę. Przez długie lata był dumny z siebie, że wszędzie i o każdej porze potrafił czuć się jak u siebie w domu. Teraz zaś, ni stąd ni zowąd, poczuł, że to tu w Anglii jest jego mała ojczyzna. Na starość robię się sentymentalny, pomyślał.

Wypił piwo do końca. Zazwyczaj wykazywał się umiarem w spożywaniu alkoholu. Nigdy nie pił w ciągu dnia, ale po tej scenie w kancelarii adwokackiej potrzebował czegoś mocniejszego niż herbata. Diabli nadali te Amerykanki!

Zamyślony krążył po pokoju. Po kilku takich rundach stwierdził, że pokój jest stanowczo za mały, żeby mógł w nim odreagować frustrację. Usiadł wobec tego w skórzanym fotelu stojącym obok łóżka, wyciągnął nogi przed siebie i zamknął oczy. „Three Feathers”... Mój Boże, przez ostatnie sześć miesięcy liczył dni, kiedy wreszcie będzie się mógł osiedlić w tym hotelu.

To było spokojne ciche miejsce, o którym marzył. Do Kanady pojechał w celu zebrania materiałów do książki, której napisanie już planował. Jego pobyt w Kanadzie przeciągnął się. Politycy i obrońcy środowiska byli bardzo zajęci i trudno było im wygospodarować trochę czasu na rozmowę z Tedem. Dokumenty, które musiał przytoczyć w książce, rozproszone były po całym kontynencie północnoamerykańskim, co wymagało częstych podróży. Nie chcąc tracić czasu sporządził pierwszy projekt książki w Kanadzie. Ostateczny kształt miał jej nadać w „Three Feathers”.

Spojrzał na zegarek. Pora się przebierać. Wyciągnął z szafy świeżą koszulę. Uśmiechnął się przypominawszy sobie Marisę Brenner. Cieszyła go perspektywa spędzenia wieczoru w jej towarzystwie. Z tym „problemem” poradzi sobie z przyjemnością. Może ona też żałuje, że spotkają się na kolacji nie we dwójkę, a w czwórkę. Nie, chyba nie, nie lubi mnie, takie odniósł wrażenie u Beala.

Jeszcze nie lubi, uśmiechnął się do swoich myśli.

Ted wziął prysznic, przebrał się i podszedł do małego biurka stojącego pod oknem. Miał jeszcze trochę czasu, żeby nanieść kilka poprawek do trzeciego rozdziału. Usiadł na rozchwianym krześle, nieprzystosowanym raczej dla mężczyzny o wzroście

metr dziewięćdziesiąt, i wziął do ręki kartki przepisane na czysto maszynopisu. Przez kilka minut usiłował skoncentrować się na tekście. Ciągle miał przed oczami jej szczupłe zgrabne nogi.

Niechętnie odłożył flamaster, zły na swoje rozkojarzenie. Owszem, była ładna, ale co z tego? Świat był pełen pięknych kobiet. Ted poznał już wiele z nich. Ciekawe, czemu tym razem tak dziwnie zareagował na kolejną ładną buzię. Marisa zrobiła na nim tak piorunujące wrażenie, że nawet nie słyszał słów Beala.

Nie spodziewał się śmierci Desmonda. Była ona dla niego absolutnym zaskoczeniem. Na myśl o starym przyjacielu ogarnął go smutek. Biedny Desmond. Nie zdążył nawet wydać tych pieniędzy, które mu pożyczył. Ted wiedział, jak trudno było mu poprosić go o pożyczkę. Nie znalazł jednak innego wyjścia. Z tą połową hotelu w zastaw to był jego pomysł. Nie chciał iść do banku, ani do lichwiarza, bo wtedy musiałby z pewnością zastawić cały hotel.

Ted oparł się plecami o krzesło i odłożył maszynopis. I tak mieścił się w czasie.

Pierwszy projekt książki był tak dobry, że wymagał właściwie tylko jednej przeróbki. Powinno mu to zająć miesiąc, góra sześć tygodni. Będzie miał potem kłopot z głowy. Tak, ale ten kłopot był chwilowo dla niego najważniejszy.

Pisał swoją pierwszą książkę i bardzo liczył na sukces.

Miał już dość dziennikarstwa. Czasami miał wrażenie, że jest dla decydentów redakcyjnym chłopcem na posyłki, którego można ganiać z jednego końca świata na drugi, zawsze tam, gdzie się coś działo. Miał już dosyć tanich hoteli i podłego jedzenia. Nie mógł już dłużej znieść samotności.

Sukces i pieniądze nie podniecały go. Zarobił wystarczająco dużo, doczekał się też wielu pochwał. Czuł jednak, że musi się zająć czymś nowym.

Ted dotarł do hotelu punktualnie o siódmej, Marisa stała w recepcji. Uznał, że nazwanie jej ładną to za mało. Ona była po prostu piękna. Patrząc na jej rozpuszczone włosy, wyobraził je sobie na swojej poduszce, w swoim łóżku. Ten obraz tak mu się spodobał, że zamknął oczy, żeby go jak najdłużej zatrzymać.

- Dobry wieczór. - Marisa wyszła zza kontuaru, żeby się przywitać.

Pogratulowała sobie w duchu opanowania.

- Dobry wieczór - odparł uprzejmie Ted. Rozejrzał się z zainteresowaniem po holu. - Widzę, że dokonały tu panie pewnych zmian.

Kiedy tu był ostatnio, ściany pomieszczenia były jeszcze wyklejone pożółkłą tapetą w szare i czarne żaglowce. Ted uważał, że tapeta była obrzydliwa już w

momencie kładzenia, a miało to miejsce, zdaje się, w tysiąc dziewięćset dwudziestym piątym roku.

Teraz hol sprawiał jasne i przyjemne wrażenie.

- Owszem - powiedziała Marisa. - Zdarłyśmy tapety, pomalowałyśmy ściany na nowo i zrezygnowałyśmy z wykładzin na podłodze.

Ted spojrzał w dół. To, co zobaczył, zrobiło na nim duże wrażenie. Nie stało się tak jednak za sprawą lśniącej podłogi, tylko za sprawą nóg Marisy, które na wysokich obcasach wyglądały niezwykle seksownie.

Prześliznął się powoli spojrzeniem po nienagannej sylwetce młodej kobiety, jedwabna suknia opinała ją jak druga skóra. Wyglądała oszałamiająco.

- Ma pan ochotę na drinka? - spytała Marisa spokojnie. Nie zauważyła chyba jego natarczywych oględzin. - Bar znajduje się tam, z tyłu. O Boże, zupełnie zapomniałam, że pan się tu świetnie orientuje - zreflektowała się.

- Czy to ja przyszedłem za wcześnie, czy też pan Beal się spóźnił? - spytał Ted idąc za gospodynią do baru. Nie mógł oderwać wzroku od jej kołyszących się bioder.

- Pan Beal jest już trochę spóźniony - odrzekła nie odwracając się. Stała za kontuarem i spytała z uśmiechem: - Czy mogę panu zaproponować sherry?

Kiwnął głową w milczeniu i za chwilę odebrał z rąk Marisy szklaneczkę z alkoholem. Celowo pogładził jej dłoń.

Marisie przebiegły ciarki po plecach. Ten przelotny dotyk palców Teda bardzo ją zmieszał. Usiadła na wysokim stołku barowym naprzeciwko Teda. Z trudem uzmysłowiła sobie, po co tu przyszedł.

- Pani akcent nie wskazuje na tutejsze pochodzenie - zaczął rozmowę Ted. - Jest co prawda uroczy, ale bardzo różni się od lokalnej wymowy. Skąd pani jest?

- Z Kalifornii. - Marisa obróciła w dłoni swój kieliszek. - Konkretnie zaś z Long Beach, to jest niedaleko Los Angeles.

Marisa nie patrzyła na swego rozmówcę. Nie chciała, żeby zauważył jej zmieszanie. Uwaga o jej uroczym akcencie wywarła na niej takie samo wrażenie, jak wcześniejszy dotyk dłoni Teda. Gdzieś w głębi duszy rozdzwoniły się tysiące dzwonów na alarm.

Kiedyś jednak musiała na niego spojrzeć. Nie mogła przecież uporczywie wpatrywać się w półkę z alkoholami lub w sufit. W końcu była tu gospodynią i musiała odpowiednio zachowywać się wobec gościa.

Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Teda i o mało się nie cofnęła. Siedział sobie w niedbalej pozie i formalnie połykał ją wzrokiem. Nie krył wcale apetytu na nią, tylko wgapiał się na nią bezczelnie.

Marisa nerwowo oblizwała wargi. Czuła taki zamęt w głowie, że w ogóle nie mogła zebrać myśli. Co się ze mną dzieje, jęknęła w duchu. Ten facet mnie wyraźnie rozstroił. Ted tymczasem hipnotyzował ją wzrokiem jak kobra swoją ofiarę. Zbliżył się do niej tak, że poczuła jego oddech na twarzy.

Co on zamierza, na litość boską? - pomyślała przerażona.

Na szczęście w tym momencie rozległy się głosy w holu. Spojrzenia Marisy i Teda spotkały się. Ona pierwsza odwróciła wzrok.

Kiedy Emma i Peter przyszli do baru, była już opanowana. Witając się z adwokatem pomyślała, że chyba to wszystko jej się zdawało. Przecież Ted nie chciał jej chyba pocałować. Na wszelki wypadek postanowiła jednak unikać jego wzroku.

Emma zaprowadziła gości do jadalni. Ted zwęził oczy przyglądając się przestronnemu pomieszczeniu.

- Ależ tu się zmieniło. Chyba nie jest takie, jak przedtem - powiedział.

- Odremontowałyśmy jadalnię. Pamięta pan chyba te paskudne różowe tapety w czerwone róże? Kocham kwiaty, ale na te nie mogłam patrzeć - oświadczyła Emma.

Zerwała tapety następnego dnia po przeprowadzce. Ściany kazała pomalować na jasnożółty kolor. Podłogi zostały wycyklinowane i polakierowane. Naturalne drzewo dębowe wyglądało znacznie ładniej niż bure wykładziny leżące na podłodze poprzednio.

- Musiałyśmy coś przedsięwziąć - pospieszyła Marisa z wyjaśnieniami. - Dom prawie się już rozpadał. Dziwię się, że ktoś tu jeszcze mógł mieszkać.

- Proszę nie traktować moich słów jako krytyki - odparł Ted. - Ten pokój jest teraz znacznie ładniejszy niż przedtem.

Uśmiechnął się do Marisy. Zaczerwieniła się zmieszana. W tej chwili żałowała, że w ogóle poznała Teda Lawrence'a. I to nie z powodu jego prawa do hotelu, a z powodu tych strasznych spojrzeń, jakimi ją obrzucał przed kolacją. Najgorsze zaś było to, że dokładnie widział, w jaki sposób zareagowała na ten jego wygłodniały wzrok.

- Może porozmawiamy o interesach - zaproponował Beal widząc napięcie między Marisą a Tedem. Nie zdążył jednak rozwinąć tematu, bowiem w tej chwili Janice podała zupę.

Dziewczyna wpatrywała się w Teda cały czas jak urzeczona. Marisa zaobserwowała z niechęcią, że w pewnym momencie Ted uśmiechnął się do niej

promiennie. Czy to wynik uprzejmości czy też flirtuje z każdą, która mu się nawinie? - pomyślała. Na czas spożywania zupy wszyscy zapomnieli o interesach. Potem cieszyła ta zwłoka, wiedział jednak, że co się odwlecze, to nie uciecze.

- Mamy dwie możliwości - zaczął, gdy Janice uprzątnęła filiżanki po zupie. - Pierwsza to spłata pożyczki. - Zająknął się pod wpływem pełnego wyrzutu spojrzenia Emmy. - Druga polega na partnerstwie. Mogliby państwo założyć spółkę i dzielić zarówno koszty utrzymania hotelu, jak i zyski. Przykro mi, ale nie ma innego wyjścia, ponieważ pan Lawrence nie godzi się na sprzedaż hotelu.

Emma otarła usta chusteczką. - Nie możemy spłacić długu Desmondowi, panie Lawrence. Nie mamy na to funduszy. Żaden bank nie da nam kredytu, ponieważ zbyt krótko prowadzimy nasz hotel.

Umilkła na chwilę. - Przyjrzała się uważnie Lawrence'owi, zanim zaczęła mówić dalej. - Jeśli chce pan otrzymywać połowę zysku z hotelu, do czego jest pan zresztą prawnie upoważniony, to musi pan wziąć na siebie także połowę zobowiązań. Chętnie uregulowałybyśmy dług Desmondowi, ale spłata mogłaby nastąpić tylko w systemie ratałnym, ponieważ nie dysponujemy w tej chwili większą gotówką.

Marisa nie zabrała głosu. Ciotka powiedziała wszystko, co było do powiedzenia. Zerknęła na Teda żałując, że nie umie czytać w myślach.

- Jest jeszcze inna możliwość - rzekł łagodnie.

Głowy gości zwróciły się ku niemu.

- Jaka? - spytał Peter z wyraźnym zainteresowaniem. Był pewien, że niczego nie przeoczył.

- Może wyjaśnię najpierw, jak doszło do tego, że pożyczyłem Desmondowi pieniądze. - Powiódł wzrokiem po zebranych i mówił dalej: - Trafiłem tu dawno temu przez przypadek. Zepsuty samochód zostawiłem o kilkaset metrów stąd. Zapukałem do drzwi, a Desmond zaoferował mi pokój. Hotel był już zapuszczony, co nie przeszkodziło mi go polubić. Polubiłem także Desmondowi. Zajęty byłem wtedy pisaniem bardzo trudnego artykułu, z którym nie mogłem sobie poradzić. W „Three Feathers” znalazłem odpowiednią atmosferę do pracy. Było tu cicho i spokojnie. Od tego czasu byłem częstym gościem w hotelu.

Ted przerwał, ponieważ Janice podała właśnie danie główne.

- Przyjeżdżałem tu przez cały rok, a potem powiedziałem Desmondowi, że gdyby chciał kiedyś sprzedać hotel, to niech mnie o tym zawiadomi. Powiedział mi wtedy, że potrzebuje gotówki i spytał, czy mogę mu pożyczyć większą sumę pod zastaw połowy hotelu. Ciekaw byłem, po co mu tyle forsy. Wyjaśnił, że zamierza wybrać się wielką

podróż, bodajże na Antypody. Chciał jeszcze zobaczyć kangury. Pożyczyłem mu sumę, o jaką mu chodziło. I tak chciałem przecież wejść w posiadanie hotelu. Ta pożyczka gwarantowała mi już połowę „Three Feathers”. Prawdę mówiąc nie sądziłem, że Desmond kiedykolwiek spłaci dług. Hotel nie przynosił żadnych dochodów. - Uprzedzę państwa pytanie - spojrzał każdemu z trojga swoich słuchaczy prosto w oczy - nie mam zwyczaju żerować na ludzkiej krzywdzie. Nie miałem zamiaru wykorzystywać sytuacji. Muszę jednak uczciwie przyznać, że spodobała mi się myśl posiadania udziałów w hotelu.

Wypił łyk wody. Trzy pary oczu wpatrywały się w niego z uwagą. Pojął, że ani Peter ani obie panie nie zrozumieli, o co mu chodzi. Hmm, musi im przybliżyć swoje stanowisko.

- Próbowałem właśnie uświadomić państwu, że nie mam zamiaru podejmować żadnych kroków w związku z pożyczką, jakiej udzieliłem Desmondowi. Chcę mieć połowę hotelu. Lubię ten dom. Chcę tu pisać. Za czasów Desmonda nie przynosił żadnych zysków. Nie chcę na nim robić pieniędzy. Przynajmniej chwilowo.

Nikt się nie odezwał słowem. Emma zamyśliła się, Peter odetchnął z ulgą, a Marisa była tak zmieszana, że nie mogła nic powiedzieć.

- Widzą więc państwo, że moje roszczenia względem hotelu ograniczają się teraz tylko do możliwości przebywania w nim i pisania.

- Powiedział pan, że polubił ten hotel jako ciche i spokojne miejsce - odezwała się Marisa nieco drżącym głosem. - Było ono takie tylko dlatego, że wuj Desmond nie miał gości. Tymczasem my chcemy to zmienić. - Postanowiła nie dopuścić do tego, żeby Ted zamieszkał z nimi pod jednym dachem. - Zależy nam na pozyskaniu jak największej liczby gości, i co za tym idzie, na pełnym obłożeniu hotelu. Sam pan więc widzi, że nie możemy panu zagwarantować ciszy, ani spokoju, bo jest to po prostu niemożliwe.

Marisa spojrzała na Teda triumfującym wzrokiem. Miała nadzieję, że zrezygnuje ze swego pomysłu.

Ted zacisnął palce na kieliszku z winem. Ta mała jędza daje mu do zrozumienia, że jest tu niechcianym gościem.

- Myślę, że jakoś sobie z tym poradzę.

- Mariso - Emma zwróciła się do siostrzenicy - pan Lawrence próbuje stworzyć nam alternatywne wyjście w stosunku do tego, co proponował pan Beal. Powinniśmy rozważyć to rozwiązanie. - Nie rozumiała zachowania Marisy. Dlaczego, na litość

boską, torpedowała plan Lawrence'a, jedyną szansę rozwiązania w godziwy sposób ich problemu?!

- Panno Brenner - odezwał się Ted uprzejmie - zdaję sobie sprawę z tego, że chcą mieć panie gości. Ja też jestem za tym. Kiedyś na pewno będę zadowolony z faktu, że moja inwestycja przynosi dochody. Teraz jednak piszę książkę, a ten hotel jest najlepszym miejscem do nadania jej ostatecznego szlif. Jeśli panie wyrażą zgodę, zostanę od dzisiaj współnikiem pań. Nie będę się wtrącał. Wystarczy mi zapewnienie, że księgi są skrupulatnie prowadzone. Chciałbym tylko dostać jeden pokój do dyspozycji, a wszystkie inne sprawy uregulujemy później. Uważam, że jest to rozwiązanie, które obie strony mogą zaakceptować, nieprawdaż, panno Brenner?

- A co pani o tym sądzi, pani Parker? - Peter Beal zwrócił się do Emmy.

- Myślę, że powinniśmy się zgodzić na propozycję pana Lawrence'a - odparła rzucając Marisie wymowne spojrzenie. Nie chciała, żeby znowu z czymś wyskoczyła.

Kiedy Janice weszła z deserem, rozmowa toczyła się już wokół innych tematów. Niestety, nawet czekoladowy mus nie był w stanie poprawić humoru Marisy. Wiedziała wprawdzie, że ugoda z Lawrence'em była dla nich ze wszech miar korzystna, nie mogła jednak opanować strachu przed tym mężczyzną.

Kolacja na szczęście dobiegła wreszcie końca. Panowie pożegnali się uprzejmie dziękując za miły wieczór i wyszli. Ted poprosił jeszcze Emmę o przygotowanie pokoju, chciał się bowiem jak najprędzej wprowadzić.

Marisa pomogła Janice sprzątnąć ze stołu. Emma zauważyła, że coś ją nurtuje. Czy był to tylko niepokój o hotel, czy coś innego?

- Jesteś zmęczona, Mariso? - spytała niespokojnie.

- Nie, ciociu, może tylko trochę rozkojarzona - odpowiedziała Marisa znużonym głosem. Zabrała ostatnie sztuce i wyniosła je do kuchni.

Emma poszła za nią. Razem załadowały zmywarę. Potem Marisa przeszła się po dolnych pomieszczeniach, żeby wyłączyć światło. Pozamykała też wszystkie drzwi. Była zła na siebie, zła na wujka Desmonda, zła na Teda Lawrence'a. Czym sobie zasłużyła na to wszystko?

Usiadła na ostatnim stopniu schodów, łokcie oparła na kolanach, a podbródek na dłoniach. Przypomniała sobie wycieczkę do Paryża, jaką urządziły sobie z ciotką za gotówkę, otrzymaną w spadku po Desmondzie. Spędziła tam cudowne, a zarazem okropne dni.

A wszystko przez Teda Lawrence'a! Gdyby nie pożyczył wujowi pieniędzy, nie miałyby za co pojechać do Paryża. To jemu zawdzięcza te mało przyjemne doświadczenia, jakie stały się jej udziałem we Francji.

Wstała i poszła na górę do swego pokoju, zamknęła za sobą drzwi i oparła się o nie plecami. Nick Sinclair... bardzo przystojny i bardzo bezwzględny mężczyzna. Była dla niego łatwą ofiarą.

Zdjęła powoli sukienkę. Dlaczego byłam tak głupia, pomyślała po raz kolejny. Spojrzała w dół na seksowną bieliznę, w której tak bardzo chciała się podobać Nickowi. Kupiła ją specjalnie dla niego.

Sam zaprowadził ją do tego ekskluzywnego magazynu z bielizną. Wspólnie naradzali się nad wyborem czegoś odpowiedniego. Sądziła, że właśnie znalazła mężczyznę na całe życie. Gotowa była zrobić wszystko, żeby mu się podobać. Pokręciła głową nad swoją głupotą i rozbierała się dalej. Gdyby choć w połowie była tak mądra jak inne kobiety w jej wieku, to przynajmniej pozwoliłaby mu zapłacić rachunek. Ale nie, ona była honorowa. Ubzduriała sobie, że Nick będzie ją bardziej cenił jako niezależną osobę. Dobrze sobie! Szkoda, że jeszcze nie była w stanie śmiać się z tego. Cała ta podróż kosztowała więcej, niż się spodziewały. Właściwie w ogóle nie mogły sobie na nią pozwolić. Zresztą pieniądze były w tej sprawie najmniejszym problemem.

Marisa zmyła makijaż, wzięła szybki prysznic i położyła się spać. Kiedy zamknęła oczy, ujrzała przed sobą całkiem niespodziewanie twarz Teda.

Ted upił porządny łyk whisky z szerokiej szklaneczki. W barze małego hotelu był jedynym gościem i bardzo był z tego zadowolony. Chciał zyskać dystans do tego wieczoru w „Three Feathers”.

Zapatrzył się nieobecny wzrokiem w rząd butelek za barem. Barman spytał, czy ma jeszcze na coś ochotę. Pokręcił głową odmownie.

Nie był bynajmniej zaniepokojony wydarzeniami tego dnia. Jako dziennikarz nauczył się docierać do faktów, analizować informacje, formułować pytania i logiczne wnioski.

Nauczył się jednak także iść za głosem instynktu. I tak się składało, że instynkt nigdy go nie zawiódł, a z całą pewnością raz uratował mu życie.

Teraz ten sam instynkt mówił mu, że Marisa odegra ważną rolę w jego życiu. Zafascynowała go, to nie ulega wątpliwości.

Wypił whisky do końca i poszedł na górę do pokoju. Kilka minut później leżał już w łóżku. Zastanawiał się, czy fascynacja Marisą ma podłoże seksualne. Szybko odrzucił tę myśl. Teraz chodziło o coś więcej. To nie był zwyczajny pociąg cielesny, jaki odczuwał przy spotkaniu z pięknymi kobietami.

Zauważył oczywiście wyraz paniki na twarzy Marisy, kiedy w barze pochylił się nad nią, żeby ją pocałować. Ciekawe, czego tak się bała. Widział przecież pożądanie w jej oczach.

Ted zamknął oczy próbując zasnąć, ale sen nie nadchodził. Jakiś wewnętrzny głos przekonywał go, że wmówił sobie tylko pozytywną reakcję Marisy na swoje własne podniecenie. Typowe myślenie życzeniowe, uśmiechnął się do siebie. Pragnął Marisy Brenner, ale pewnie tylko dlatego, że od dawna nie miał już kobiety.

Założył ręce za głowę. Zaczął snuć erotyczne fantazje z nim i Marisą w rolach głównych. To było nawet sympatyczne zajęcie, ale w żaden sposób nie pomagało mu zasnąć. Przeciwnie, poczuł że jest podniecony.

Któregoś dnia będzie ją miał, tę małą jędzę z Ameryki. Weźmie ją w ramiona i zadreczy pieszczotami. Rozgniecie te małe słodkie usteczka, wycaluje każdy centymetr jej ciała. Będzie dziko namiętny i anielsko czuły...

ROZDZIAŁ 3

Październikowe słońce oświetlało złotym blaskiem jadalnię hotelu „Three Feathers”. Marisa podniosła z podłogi łyżkę upuszczoną przez jakiegoś nieuważnego gościa i zaczęła sprzątać ze stołów po śniadaniu.

Zaniosła naczynia do kuchni, usiadła przy stole i zamknęła oczy. Nieprzespana noc dawała znać o sobie. Godziny mijały jedna za drugą, o ona leżała w łóżku rozmyślając nad rozwiązaniem problemu niechcianego współnika. Niestety, nie wpadła na żaden odkrywczy pomysł. Nie umiała pozbyć się Teda Lawrence'a. I co gorsza będzie musiała znosić go na co dzień.

Marisa otworzyła oczy. Postanowiła napić się jeszcze kawy. Była gorzka, ale przynajmniej gorąca.

Nie czuła się dobrze. To wszystko przez tego typa. Bolały ją wszystkie kości, głowa formalnie pękała i na niczym nie mogła się skupić.

Dzisiaj Lawrence miał się wprowadzić do hotelu. Marisa była pewna, że oznacza to pogorszenie ich sytuacji. Wszystko się pewnie zmieni na niekorzystne, myślała z goryczą. Potrzebny nam ten facet jak dziura w moście.

Postanowiła, że nie będzie sobie zaprzętała głowy jego osobą, ale nie było to takie proste. Nie mogła zapomnieć incydentu w barze. Nigdy przedtem nie zdarzyło jej się coś podobnego. Pożądliwy wzrok Lawrence'a sprawił, że była zupełnie bezwolna.

Na przedpołudnie zaplanowała mnóstwo roboty. Posłała łóżka, wypucowała łazienki, opróżniła kosze na odpadki. Janice i Emma robiły to samo, co ona, niemniej jednak potrzeba im było prawie całego dnia, żeby zrobić wszystko.

Dopiero późnym popołudniem Marisa mogła zamknąć się w swoim atelier. Do kolacji były jeszcze dwie godziny. To powinno wystarczyć na dokończenie obrazu, nad którym pracowała od dwóch tygodni.

Podeszła do sztalug, ale zanim jeszcze wzięła pędzel do ręki, drzwi otworzyły się i ukazał się w nich Ted Lawrence we własnej osobie. Marisa aż otworzyła usta z wrażenia.

- Halo! - odezwał się swobodnie. Nie wydawał się wcale zmieszany tym, że wtargnął do jej prywatnej strefy. - Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam?

- A gdybym powiedziała, że tak, to wycofałby się pan?

- Dzisiaj się tu wprowadzam - oświadczył radośnie, jakby nie słyszał jej słów.

Podszedł do sztalug, żeby rzucić okiem na obraz. Nie zdążył jednak tego zrobić, gdyż

Marisa czym prędzej zarzuciła na płótno wielką chustę, którą zawsze trzymała w pogotowiu. Nie lubiła, gdy ktoś oglądał jej prace przed ukończeniem.

- Przepraszam - mruknął pod nosem. - Naprawdę nie chciałem pani przeszkadzać, ale kiedy się tu zjawiłem kilka minut temu, pani z kuchni posłała mnie na górę.

- Ach, ma pan na myśli Florence, naszą kucharkę - domyśliła się Marisa. Nie mogła oprzeć się chęci wyrzucenia przybysza z atelier.

Ted przechylił głowę i spojrzał z ukosa na dziewczynę. Oczy ich spotkały się. Marisa poczuła ku swemu niezadowoleniu, że się czerwieni. Patrzył na nią tak, jakby była ubrana w bieliznę z sex-shopu, a nie w dzinsy i sweter.

- Mam panu pokazać pański pokój? - spytała, żeby przerwać milczenie.

Uśmiechnął się szeroko i kiwnął głową w odpowiedzi.

- Oczekiwałyśmy pana później - powiedziała Marisa na schodach.

- Podróż nie zajęła mi dużo czasu. Na drodze prawie nie było ruchu.

Zeszli na trzecie piętro. Marisa wyminęła Teda, żeby się nie tłoczył w wąskim korytarzu. Poczul oszałamiający zapach jej perfum. Lawenda, stwierdził, niepokojący, zmysłowy aromat.

Obok pokoju Teda mieściły się na tym piętrze pokoje Emmy i Marisy. Był też niewielki salonik, w którym obie panie często piły popołudniową herbatę. Tam Marisa zaprowadziła Teda najpierw.

- Korzystamy z tego pokoju, gdy chcemy być same - oznajmiła. Celowo nie zapaliła światła. Nie chciała ponad potrzebę przebywania z tym mężczyzną w jednym pokoju.

A on wcale nie przejął się jej ostentacyjną nieuprzejmością. Sam włączył światło i rozejrzał się po saloniku.

- Działa? - spytał wskazując niewielki telewizor.

- Tak - odparła niechętnie - ale to czarno-biały aparat. Pański pokój mieści się tam dalej. - Wyszła z saloniku.

Otworzyła drzwi w głębi korytarza i wpuściła Teda do środka. Uwagę Lawrence'a przykuł wazon ze świeżymi kwiatami, stojący na biurku.

- Jakie piękne kwiaty! - zachwycił się złocistymi chryzantemami. Na stoliku nocnym także stały kwiaty. Ciotka przeszła samą siebie, pomyślała Marisa.

- Ciocia wyhodowała je własnoręcznie w szklarni hotelowej - powiedziała głośno. - Jest geniuszem w uprawie roślin. Czego się nie dotknie, rośnie w oczach.

- Pani nie chce, żebym tu zamieszkał. - To było stwierdzenie, nie pytanie. Marisa drgnęła, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, Ted już mówił dalej. - Proszę mnie wysłuchać. Nie wiem, jaki problem panią nurtuje, ja w każdym razie zapewniłem i panią i jej ciotkę, że nie będę się wtrącał do prowadzenia hotelu. Nie mam również zamiaru uczestniczyć w waszym prywatnym życiu. Jedyna rzecz, której pragnę, to możliwość dokończenia książki.

- Nie wiem o czym pan mówi. - Głos Marisy zabrzmiał piskliwie.

Odwróciła się na pięcie, zła, że tak łatwo ją przejrzał. Rzeczywiście nie chciała mieszkać z nim pod jednym dachem, ale też, co gorsza, nie chciała, żeby się stąd wyprowadził.

- O, nie! Pani zostanie tutaj! - Ted w dwóch krokach znalazł się obok niej i posadził ją siłą w fotelu.

- Niech pan weźmie ręce ode mnie! - zawołała z gniewem. - Co to ma znaczyć?

- Porozmawiamy sobie teraz troszeczkę - powiedział niemal groźnie. Usiadł w fotelu naprzeciwko. - Czy zawsze jest pani tak niesympatyczna, czy stara się pani specjalnie dla mnie? Od kiedy się poznaliśmy okazuje mi pani swoją niechęć. Powinna pani wreszcie przyjąć do wiadomości fakt, że jestem właścicielem połowy hotelu, czy to się pani podoba, czy nie. Mam prawo tu przebywać niezależnie od pani nastawienia. Nie wiem, jaki ma pani problem, ale mój problem dotyczy tylko i wyłącznie dokończenia książki. Rozumiemy się?

Spojrzał Marisie prosto w oczy. Odbijały się w nich przestraszenie, gniew i coś jeszcze, czego nie mógł zidentyfikować. Nagle uświadomił sobie, co to było. Marisa Brenner była podekscytowana!

- Jest pan wyjątkowo bezczelny! - syknęła Marisa zrywając się na równe nogi. - Uczepił się pan jakiegoś wyimaginowanego problemu, z którym rzekomo nie mogę sobie poradzić. A według mnie to pan ma ze sobą problemy. Wydaje się panu, że zawsze i wszędzie musi być pan ośrodkiem zainteresowania. Mogę pana zapewnić, że nie tracę czasu na rozmyślanie o panu!

Wybiegła z pokoju trzasnąwszy drzwiami z rozmachem. Co za cholerny palant! Trzeba mu będzie chyba dodać arszeniku do jedzenia!

Emma zastała siostrzenicę w kuchni. Florence zeszła do piwnicy po jakieś wiktuały, były więc same.

- Zastanawiam się, kiedy przyjedzie Ted - powiedziała Emma. - Właściwie powinien już tu być.

- I jest - odrzekła Marisa niechętnie. - Jaśnie wielmożny pan pojawił się tu godzinę temu.

Emma spojrzała na nią zdziwiona. - Co się z tobą dzieje, dziecko? - Sama była bardzo zadowolona z tego, że Ted tu zamieszka. Będą się czuły bezpieczniej z mężczyzną.

- Źle się wyraziłam, przepraszam - zreflektowała się Marisa. - Po prostu ciąży mi świadomość, że jesteśmy już tylko połowicznymi właścicielkami hotelu - wymyśliła na poczekaniu.

- Ale ja przecież widzę, że coś ci jest. Mnie nie oszukasz. Powiedz mi zaraz, o co chodzi.

- Ależ ciociu, nic mi nie jest. Jestem tylko zła. Tak ciężko pracowałyśmy przez te pół roku, a teraz dowiadujemy się, że hotel ma współwłaściciela. Przyszedł na gotowe, kiedy już uporaliśmy się z generalnym remontem. Ciebie to nie złości, ciociu?

- Muszę przyznać, że nie jestem lepsza od ciebie. Mnie też to irytuje. Skoro jednak nie możemy niczego zmienić, to postarajmy się obrócić tę sytuację na naszą korzyść. Pan Lawrence zrobił na mnie jak najlepsze wrażenie. Myślę, że nie będzie nam przeszkadzał. Pokazałaś mu pokój? Jak mu się podobał?

Marisa nie odpowiedziała, tylko wzięła tacę ze sztućcami i poszła do jadalni. Ciotka i tak by nie zrozumiała jej obiekcji co do Lawrence'a. Ona sama ich nie rozumiała.

Nie było przecież żadnego niebezpieczeństwa. Ted nie był Nickiem. Nie interesowała go jako kobieta. Jediną rzeczą, jaka go interesowała, było dokończenie książki. Powiedział jej to aż nadto wyraźnie. I jak brutalnie się zachował! Marisa nigdy mu tego nie wybaczy.

Dziwne tylko, że wzrok Teda mówił coś wręcz przeciwnego niż jego słowa. Nie miała jednak zbyt wielu doświadczeń z mężczyznami i trudno jej było ocenić na pierwszy rzut oka, czego mogą chcieć od kobiety, a czego nie. Być może Ted był krótkowidzem i pochylił się nad nią w barze tylko po to, żeby lepiej przyjrzeć się jej twarzy...

- Czy on jest? - do jadalni weszła Janice z naręczem serwetek.

- Tak, niedawno przyjechał.

- Jaki to przystojny facet - rozmarzyła się Janice. - Nie wie pani, czy jest żonaty lub zaręczony? Eeee, z pewnością jest już zajęty. Taki atrakcyjny facet nie uchowa się długo w samotności.

Marisa mruknęła coś niezrozumiałego. Nie chciała podtrzymywać tematu.

Kolacja przebiegała w nadzwyczaj napiętej atmosferze. Emma oczywiście poprosiła Teda do ich stolika, a ponieważ gości nie było zbyt wielu, Marisa nie miała wyboru. Musiała dotrzymywać towarzystwa.

Była uprzejma, aczkolwiek bardzo oszczędna w słowach. Zauważyła, że ciotka rzuca jej co chwila wściekłe spojrzenia. Czego oni wszyscy chcą ode mnie, pomyślała przeżuując kęs befsztyka. Może powinnam tego faceta przeprosić, że nie padłam przed nim na kolana na powitanie?

Głośny śmiech Teda wyrwał ją z zamyślenia. Odpowiadał właśnie na liczne pytania ciotki.

- O czym traktuje pańska książka? - pytała właśnie.

- Generalnie o polityce środowiska - odparł. - Przemysłowe nacje całego świata zobowiązały się bardziej lub mniej dobrowolnie do ochrony środowiska swoich krajów. Byłem niedawno w Kanadzie, żeby zorientować się w tamtejszych warunkach. Chodziło mi o ustalenia rządowe, mające na celu ochronę środowiska.

- Chciał pan wiedzieć, czy rząd ma na przykład wpływ na zahamowanie wyřębu lasów, tak? - upewniła się Emma.

- Dokładnie - uśmiechnął się. - Nie ma pani pojęcia, co tam przeżyłem. To było tak... - upił łyk przedniego czerwonego wina i spojrzał na Marisę, która zdawała się być zafascynowana kształtem ziemniaków na swoim talerzu. Miała już dość tej kolacji.

Ted ciągnął swą opowieść wcale nie zrażony brakiem zainteresowania ze strony Marisy. Znalazł w Emmie, miłośniczce roślin wszelkiego autoramentu, pokrewną duszę.

Gdyby to zależało od niej, to każdy rząd, który nie przejmuje się ochroną swojej flory i fauny, nie miałby szans na utrzymanie się przy władzy. Dyskutowała zawzięcie z Tedem. Marisa nie miała okazji przedstawić swego zdania na ten temat, przede wszystkim dlatego, że jej o nic nie pytano. Tamtych dwoje zupełnie o niej zapomniało.

Coraz częściej spoglądała na zegarek. Za którymś razem zostało to wreszcie zauważone. Wstali od stołu. Ted podziękował za drinka zaproponowanego przez ciotkę, pożegnał się i poszedł na górę do swego pokoju. Marisa i Emma zajrzały jeszcze do kuchni i także udały się na spoczynek.

Leżąc w łóżku Ted stwierdził, że rozmowa o książce dobrze mu zrobiła.

Szukając wygodniejszej pozycji przewrócił się na plecy. Nie mógł zasnąć. Patrzył w okno, za którym nic nie było widać.

Poczuł się nagle bardzo samotny. Wolał jednak z dwojga złego być sam, niż dzielić łóżko z kobietą, do której nic nie czuł. Taka samotność była jeszcze gorsza. Doświadczył tego po Cynthii.

Podniósł się z westchnieniem. Wiedział, że nie zaśnie, dopóki sobie wszystkiego nie przemyśli. Nie mógł udawać przed sobą, że wszystko jest w porządku.

Miałby może lepsze samopoczucie, gdyby nadal żył z Cynthią. Tylko, że ona tego nie chciała. Nie, Susan by tego nie wytrzymała.

Czy naprawdę ją kochałem, zastanowił się po raz tysięczny. Byli ze sobą prawie dwa lata. Cynthia była również dziennikarką, stale w drodze w pogoni za wydarzeniami.

Ted myślał nawet o małżeństwie z Cynthią, uznali jednak, że nie byłby to najlepszy krok.

Rozstali się z innego powodu. Po prostu zauważyli, że się nie kochają. Nie było wielkich scen pożegnalnych, jednak w decydującej rozmowie Cynthia powiedziała coś, co go potwornie zabolalo.

Zamknął oczy. Wspomnienie tego wieczoru nadal było dla niego bolesne. Cynthia przeprosiła go za coś, co na szczęście nie miało konsekwencji. - Kiedy się do ciebie wprowadziłam, odstawiłam pigułkę - przyznała się z zakłopotaniem. - Wiem, powinnam ci była o tym powiedzieć, ale sama podjęłam tę decyzję. Sądziłam, że dziecko pomoże mi zdecydować się na ciebie i zrezygnować z zawodu.

Zabrała ostatnią torbę i już jej nie było. A wtedy Ted się upił. Wypił morze whisky. Alkohol nie uśmierzył jednak bólu, jaki go gnębił.

Nigdy nie będzie miał dziecka. To jego wina. Od kiedy Cynthia zamieszkała u niego, kochali się długo i często. Ona już miała dziecko.

Rozważał możliwość pójścia do lekarza, ale po namyśle zrezygnował. Po co miałby się poddawać tym wszystkim testom, tym wszystkim badaniom, po co miałby odpowiadać na niezliczone ilości pytań? Sprawa była dla niego jasna. Nie musiał potwierdzać tej strasznej prawdy.

Budzik tykał miarowo na stoliku obok łóżka. Chciał zapalić światło, żeby zobaczyć, która godzina. Wiedział jednak, że to mu nie pomoże zasnąć.

W Kanadzie długo rozmyślał nad swoim problemem. W końcu pogodził się z faktem, że nigdy nie będzie miał dzieci. Nie było to dla niego łatwe. Pochodził z konserwatywnej rodziny i zawsze planował założenie rodziny.

Pocieszał się tylko, że może nie wszystkie kobiety pragną dzieci. Może trafi na taką, która w imię miłości do niego zrezygnuje z instynktu macierzyńskiego. Przyszła mu na myśl Marisa. Nie bądź idiotą, mruknął. Nie znasz jej nawet.

Ted nie był jedyną osobą w „Three Feathers”, która nie mogła zasnąć. Marisa już od dwóch godzin daremnie czekała na sen. Zła była na swoje dzisiejsze zachowanie i zła na siebie, że tak się tym przejęła.

Przewróciła się na brzuch i ukryła twarz w poduszce. To ten przeklęty facet zabrał jej spokój. Był taki przystojny i taki ujmujący! Ona zaś nie dowierzała przystojniakom. Emma nie mogła zrozumieć jej niechęci wobec Teda. Gdyby wiedziała, co się zdarzyło we Francji, okazałaby jej więcej wyrozumiałości. Marisa nie chciała jej jednak wtajemniczać w swoje przeżycia.

Żałowała, że nie miała takich doświadczeń z płcią przeciwną, jakie są udziałem większości nastolatek. No tak, ale ona zawsze była taka zajęta. Uczyła się, dorabiała na życie, a wolny czas, tę niewielką ilość, jaka jej zostawała, poświęcała malowaniu.

Miała już dwadzieścia cztery lata i za późno było na eksperymenty z mężczyznami.

Ciekawe, nigdy nie cierpiała na bezsenność, dopóki... nie poznała Nicka. Nick! Już samo to imię wywoływało w niej gniew i rozpacz zarazem. Nie mogła sobie darować swej naiwności.

Przewróciła się na plecy i postanowiła spróbować ćwiczeń oddechowych w nadziei, że pomogą jej zasnąć.

Zrobiła długi, wolny wdech licząc w tym czasie do ośmiu. Powoli wypuściła powietrze. Ćwiczyła tak przez dobry kwadrans. Bez rezultatu.

Kiedy po raz pierwszy ujrzała Teda Lawrence'a w kancelarii Beala, poczuła, że coś między nimi zaiskrzyło. Ten przystojny mężczyzna przyciągał ją z jakąś osobliwą, magnetyczną siłą. Nigdy jeszcze nie zdarzyło się jej coś podobnego, nawet z Nickiem.

Jaka szkoda, że nie został w Kanadzie na stałe! Jaka szkoda, że zawarł tę dziwną transakcję z Desmondem Freemontem!

Przysparzał jej tylko kłopotów. Przy kolacji zapytał na przykład, czy nie znalazłby się jakiś duży, cichy pokój, w którym mógłby sobie urządzić gabinet do pracy.

Jedyne pomieszczenie nadające się do tego celu, znajdowało się na strychu, obok jej atelier. Tylko, że Marisa wcale nie chciała z nim sąsiadować! Emma ostrzegła ją wzrokiem, żeby czegoś nie palnęła i Marisa zdusiła w sobie okrzyk protestu.

Pocieszała się tylko myślą, że Ted będzie musiał sobie sam posprzątać. One przecież nie miały czasu. Ta głupia Janice chętnie by mu pomogła, ale Marisa jej to uniemożliwi. Powie Tedowi, że sam musi się wszystkim zająć. I bardzo dobrze. Niech wie, że nie będzie tu obsługiwany.

Ted uprzedził jej zamiar. Następnego dnia oświadczył przy śniadaniu, że sam sobie przygotuje gabinet na strychu.

- Dam panu szczotki, proszki i szmaty - powiedział Marisa zła, że nie od niej wyszła ta propozycja.

Uśmiechnął się smarując marmoladą kolejną grzanekę.

- A pani nic nie je?

Marisa dawno już była po śniadaniu. Pomagała teraz Janice chcąc ją mieć na oku.

- Jadłam już śniadanie - burknęła. - My - zaakcentowała to słowo - wstajemy wcześniej.

Jej nieuprzejmy ton wcale nie zmieszał Teda.

- Szkoda - powiedział - myślałem, że poznamy się bliżej przy filiżance kawy.

Udał, że nie widzi jej niedowierzającego spojrzenia.



ROZDZIAŁ 4

W czasie następnych tygodni Marisa pracowała jak szalona, głównie dlatego, żeby trzymać się z dala od Teda Lawrence'a. Czowała się nieswojo w jego towarzystwie i wolała zejść mu z drogi.

Ostry dzwonek telefonu przerwał ciszę ponurego listopadowego poranka. Ted spojrzął niechętnie na aparat spod papierów piętrzących się przed nim na biurku. Po raz kolejny przeklinał ten telefon. Dzwonił zawsze w najmniej odpowiednim momencie.

- Halo - podniósł słuchawkę. Myślami był gdzie indziej.

- Jak się masz, kochanie - usłyszał głęboki kobiecy głos. O mało nie jęknął głośno. Dzwoniła Susan Mallory, niezwykle nerwowa redaktorka, przydzielona mu przez wydawnictwo.

- Ach, to ty, Susan. Co u ciebie?

- Wszystko w porządku. A jak twoja praca? Posuwa się do przodu, kochanie?

Ted drgnął. Nienawidził, gdy tak się do niego zwracała. Nie zdążył odpowiedzieć, bo Susan już mówiła dalej.

- Jesteśmy po prostu zachwyceni pierwszymi dziesięcioma rozdziałami. Są doskonale. Absolutnie cudowne. Wiedziałaś, że taki mężczyzna, jak ty, ma „dobre pióro”.

Ted wiedział, że te rozdziały były dobre, ale bynajmniej nie nazwałby ich aż cudownymi. Ale to w końcu Susan była profesjonalistką. Musiał liczyć się z jej zdaniem.

- Dziękuję, Susan. Cieszę się, że ci się spodobały. Mam teraz dużo pracy. Czy dzwonisz z jakiegoś określonego powodu? - Ted nie chciał przedłużać rozmowy ponad potrzebę.

- Och, kochanie, pewnie przeszkodziłam ci w pracy - odparła pogodnie. - Dzwonię, żeby ci zaproponować wspólne przejrzanie tych rozdziałów. Są wprawdzie dobre, ale nawet najlepszą pracę można jeszcze ulepszyć.

- Okay - zgodził się Ted. - Kiedy się spotkamy? Czy mam do ciebie przyjechać? Susan miała biuro w Londynie i Ted wolałby spotkać się z nią tam, a nie na prywatnym gruncie.

- Ach, nie, kochanie, to byłoby dla ciebie zbyt kłopotliwe.

- Żaden kłopot, Susan, samochodem zajmie to dwie godziny - odparł sucho.

W ciszy, jaka zapadła po jego słowach słyszał wręcz pracę mózgu Susan. Cholera, co ona znowu wymyśliła? Wiedział, że jej się podoba i wołał mieć się przed nią na baczności.

- Dwie godziny w jedną stronę, dwie z powrotem, to razem cztery. Stracisz cztery godziny pracy. Nie, nie, to nie wchodzi w grę. - Susan mówiła tonem nie znoszącym sprzeciwu. - Zamierzam spędzić ten weekend u przyjaciół mieszkających o kilka mil od ciebie. Chętnie cię odwiedzę. Załatwimy całą sprawę w pół dnia. A może masz już jakieś inne plany weekendowe?

- Nie - powiedział ostrożnie - ale czy nie należy ci się trochę odpoczynku? Chcesz pracować w weekend?

- Wiesz, że zawsze jestem do twojej dyspozycji, kochanie! - zawołała radośnie. - Przyjadę w sobotę po obiedzie.

Ted nie znalazł żadnej wiarygodnej wymówki.

- Zgoda. Do zobaczenia w sobotę.

Odłożył słuchawkę, rzucił ołówek na biurko i zagapił się bezmyślnie w swój maszynopis.

Od kiedy wrócił z Kanady, a było to miesiąc temu, unikał Susan Mallory jak zarazy. Tym razem musi jednak stawić czoła niebezpieczeństwu. Była w końcu redaktorką jego książki i musiał zabiegać o jej względy.

Nastrój Teda dopasował się do ponurego listopadowego dnia. Złościła go także świadomość, że Marisa zamyka się przed nim w swoim atelier, jak zakonnica za murami klasztoru.

Ani o krok nie zbliżył się do tej kobiety. Sytuacja była rozpaczliwa, a jednocześnie podniecająca. Im rzadziej widywał Marisę, tym bardziej za nią tęsknił. Był prawie pewien, że z nią dzieje się podobnie.

Za to z Emmą zaprzyjaźnił się błyskawicznie. Od niej dowiedział się, że Marisa z nikim się nie spotyka. Miejscowy lekarz zarzucał ją wprawdzie zaproszeniami, ale Marisa nigdy nie skorzystała z żadnego. Pracowała tylko w hotelu i malowała w swoim atelier.

Marisa unikała go, widział to wyraźnie. A przecież chciał ją tylko lepiej poznać. Co znaczy chciał, musiał! Czuł niewytłumaczalny pociąg do tej kobiety. Pragnął jej i to tak bardzo, że drżał przy każdym spotkaniu z nią.

Ted zdecydował, że należy mu się przerwa w pracy. Wstał, przeciągnął się, żeby rozprostować mięśnie i zszedł na dół. Miał ochotę na kawę. Z niepokojem myślał o spotkaniu z Susan. Nie chciał dopuścić do nadmiernej zażyłości w ich wzajemnych

stosunkach. Susan Mallory miała tylko redagować jego książkę i na tym koniec. Nie wiedział jeszcze, jak ma jej to uświadomić.

Emma powitała go zza kontuaru recepcji.

- Dzień dobry! Napije się pan kawy?

- Dzień dobry. Czyta chyba pani w moich myślach.

- Chyba nie, ale wiem, że pracował pan od rana i potrzebuje pan chwili relaksu.

Ja zawsze piję drugą kawę przed obiadem. Inaczej nie wytrzymałabym do wieczora - zwierzyła mu się, gdy razem szli do kuchni. - Jak panu idzie pisanie?

- Całkiem nieźle. Jestem już blisko końca.

- Poświęci się pan teraz tylko pisarstwu? Nie będzie pan żałował dziennikarstwa? To taki interesujący zawód. Podróże, spotkania z ciekawymi ludźmi.

- Nie - odpowiedział bez wahania. Przemyślał już ten problem. - Początkowo, nie przeczę, bardzo lubiłem dziennikarstwo. Z czasem znudziły mi się te stałe podróże. Wie pani, ja ciągle byłem w drodze, w hotelu mieszkałem częściej niż w domu. W pewnym momencie poczułem się bardzo samotny. Miałem już tego dosyć.

- Będzie więc pan pisał książki?

- Tak, ale pod warunkiem, że książka, nad którą teraz pracuję, odniesie sukces.

Gdy mam jakiś interesujący temat, staram się go jak najbardziej wyczerpująco przedstawić czytelnikowi. Pisząc artykuły prasowe musiałem się ograniczać, w książce mogę zaś pomieścić wszystko, co uznaję za stosowne. Chcę być wreszcie panem samego siebie. Nikt nie będzie mnie w niczym ograniczał.

- Widzę, że mamy przynajmniej jedną wspólną cechę - uśmiechnęła się Emma. - Przez długie lata pracowałyśmy z Marisą ciężko na kawałek chleba. Żadna z nas nie miała szansy na samorealizację. Aż do teraz.

- Teraz coś się zmieniło? - spytał Ted. - Widzę przecież, że nadal ciężko pracujecie.

- Tak, ale to jest praca, która sprawia nam przyjemność. Marisa może malować, a ja zajmuję się hodowlą roślin, o czym od dawna marzyłam. Przydałaby się nam co prawda jakaś pomoc, ale i tak jesteśmy zadowolone ze swego losu. Spadek po Desmondzie był dla nas prawdziwym darem niebios.

- A może ja bym się na coś przydał? - zaproponował Ted z uśmiechem.

- Och - zmieszła się Emma. - Nie chciałam pana wcale prosić o pomoc. Jakoś sobie poradzimy. Niedługo powinniśmy już wyjść na swoje.

Ted poklepał ją po ramieniu. - Wiem, że nie chciała mnie pani prosić o pomoc - powiedział łagodnie. - Ale chętnie bym się trochę poruszał. To siedzenie za biurkiem

już mnie znużyło, no i chyba zacząłem tyć. Może znalazłaby pani dla mnie jakieś zajęcie na świeżym powietrzu?

- Ale to naprawdę nie jest konieczne, Ted. Zresztą to by było niesprawiedliwe. Nie bierze pan pieniędzy i nie możemy od pana wymagać, żeby pan tu tyrał.

Roześmiał się głośno. - Zależy mi na pracy fizycznej, bo inaczej upasę się na wikcie Florence jak prosiak. Trzeba mnie było uprzedzić, że ona tak dobrze gotuje. Jak tak dalej pójdzie, dobiję do stu kilogramów żywej wagi.

Emma przyjrzała mu się krytycznie. Według niej Ted nie przytył ani o gram. Mimo to kiwnęła głową. - Niech będzie. Mam dla pana typowo męskie zajęcie na świeżym powietrzu, tak, jak pan sobie życzył.

- Co by to miało być?

- Mógłby pan porąbać drewno na opał do kominka, a poza tym przyciąć drzewa rosnące za szklarnią.

Ted uśmiechnął się do niej szeroko i natychmiast ruszył do roboty. W szopie znalazł siekierę. Ułożył duży kawałek drzewa na pniaku i przeciął go siekierą na pół, a potem jeszcze na drobniejsze części. Pracował metodycznie i szybko. Lubił wysiłek fizyczny. Dobrze mu się wtedy myślało.

Rozmowa z Emmą nasunęła mu pewien pomysł. Może Marisa wolałaby mieć więcej czasu na malowanie? Nie, ona się nigdy na to nie zgodzi, to głupi pomysł. A może jednak?

W ciągu tego miesiąca, kiedy tu mieszkał, często widział gniew w jej oczach, gdy nakrywała stoły w jadalni. Nie poskarżyła się ani słowem, ale jej frustracja była widoczna.

Ted odszedł na bok, żeby ocenić swoją robotę. To mogłoby być dobre wyjście dla nas obojga, myślał dalej. W ten sposób utrzymałbym Susan Mallory na dystans, a znajomość z Marisą skierowałbym na właściwe tory.

Wrócił do domu rozważając po drodze wszystkie za i przeciw swego planu. Siadając za biurkiem był już pewien, że wprowadzi go w życie. Nie miał w końcu nic do stracenia.

Odszukał w maszynopisie miejsce, na którym przerwał. Czuł się teraz znacznie lepiej. Depresja, jaką odczuwał rano, zniknęła bez śladu.

Marisa odłożyła pędzel i spojrzała na zegarek. Powinna już być na dole, żeby przygotować jadalnię do posiłku. Malowała dziś tylko dwie godziny. Lepsze to niż nic, pocieszyła się.

W jadalni była już Janice. - Wcześniej pani przyszła - mruknęła Marisa. Wzięła solniczki i pieprzniczki, żeby napełnić je na nowo.

- Nie miałam nic innego do roboty, pomyślałam więc, że przyjdę wcześniej i pomogę pani. - Głos Janice zadrżał niepokojąco.

Marisa spojrzała na nią, ale dziewczyna odwróciła się w tym momencie plecami do niej.

Co mnie to obchodzi, pomyślała. Mam w końcu własne problemy. Podeszła do drzwi, ale usłyszała, że Janice pociąga nosem. O, znowu, tym razem głośniej. Nie, nie mogła zignorować biednej Janice.

- Czy coś się stało, Janice? - spytała z wahaniem. - Może mogłabym pani pomóc?

Ton współczucia w głosie Marisy wystarczył Janice. Wybuchnęła płaczem. Usiadła na krześle i ukryła twarz w dłoniach.

- Niechże pani nie płacze tak rozpaczliwie. - Marisa objęła szlochającą dziewczynę. - Proszę powiedzieć, co się stało - szepnęła łagodnie.

Janice podniosła głowę i ze smutkiem spojrzała na Marisę.

- Pani tego nie zrozumie - westchnęła. - Taka śliczna kobieta jak pani nie czuje się w moją sytuację. Wiem, że chce mi pani pomóc, ale przecież nie zrozumie mnie pani. - Janice wytarła łzy z policzków.

- Niech pani wyrzuci z siebie wszystko. Dobrze to pani zrobi. Janice rzeczywiście chciała się przed kimś wygadać.

- Jestem taka brzydka - zaczęła jękać się. - Nikt nie chce się ze mną umówić, bo jestem gruba i noszę te wstrętne okulary. Mam już tego dosyć!

Marisa wiedziała już, o co chodzi. Sama przeżywała podobne męczarnie, gdy w wieku trzynastu lat zmuszano ją do noszenia aparatu ortodontycznego.

- Janice - pogładziła ją po plecach - musi mnie pani wysłuchać. Po pierwsze nie jest pani gruba, po drugie - nie jest pani brzydka, po trzecie - jest pani bardzo miłą dziewczyną.

Janice nie uwierzyła w ani jedno słowo. Pokręciła ze smutkiem głową.

- A teraz proszę powiedzieć, jaki jest prawdziwy powód pani płaczu - poprosiła Marisa i cierpliwie czekała na odpowiedź.

- Ach, to wszystko przez tę Debby... Idzie w sobotę wieczorem do dyskoteki w Kettering i chce, żebym się wybrała razem z nią.

- No to przecież fajnie - ucieszyła się Marisa, ale zaraz zreflektowała się. - A może pani nie chce iść?

- Chcę, ale... kiedy tam byłam ostatnio, to spotkałam tego faceta i... Janice urwała i zaczerwieniła się. - Myślałam, że może naprawdę mu się spodobałam. Długo tańczyliśmy razem. Potem chciał mnie odwieźć swoim motocyklem do domu. Ale to nastąpiło później. Najpierw zawiózł mnie do siebie. Byłam taka jakaś nieprzytomna i... no i... przespałam się z nim. Nie było to wcale przyjemne, ale on mi się tak bardzo podobał. Myślałam, że ja jemu też. Widocznie jednak jest inaczej, ponieważ nie odezwał się do mnie od tamtego czasu. Nie chciałabym go teraz spotkać w dyskotecie. Pani pewnie nie zrobiła nigdy z siebie takiej idiotki.

Milczały obydwie przez kilka minut. Marisa wiedziała, że dziewczynie dzieje się krzywda.

- Nie zrobiła pani z siebie idiotki, Janice - odezwała się po namyśle.

- Chyba jednak tak - odparła Janice samokrytycznie. - Spałam z nim, bo myślałam, że zyskam przez to jego względy. Ale on mnie wykorzystał, a teraz się pewnie ze mnie śmieje. A ja tak bardzo chciałam mieć chłopaka.

- Niech się pani tak bardzo nie przejmuje. Nie ma na świecie kobiety, która przynajmniej raz w życiu nie zrobiłaby z siebie idiotki. Nie ma w tym nic dziwnego, że chce mieć pani kogoś bliskiego. To najzupełniej normalne. Nie musi się pani tak obwiniać. I proszę mi wierzyć, dobrze wiem, co pani czuje.

- Co pani mówi! Założę się, że pani nie przytrafiłaby się taka historia. Założę się, że nikt pani tak haniebnie nie wykorzystał.

Marisa spojrzała z wahaniem na dziewczynę.

- No to przegrała pani zakład!

Janice patrzyła na nią pytająco.

- W zeszłym roku pojechałam do Francji. Poznałam tam bardzo przystojnego mężczyznę. - Zamknęła oczy przypominając sobie rysy twarzy Nicka. - Pochlebiało mi jego zainteresowanie. Pewnie pani myśli, że mam duże doświadczenie z mężczyznami, ale tak nie jest.

We wzroku Janice widać było niedowierzanie.

- Nie będę zresztą opowiadać pani wszystkiego ze szczegółami. Ten mężczyzna okazał się oszustem. Profesjonalistą w swoim obrzydliwym fachu. Wyjechałam z Francji bez paszportu i bez pieniędzy. Okradł mnie. A zanim to zrobił, uwiódł mnie. - Urwała dziwiąc się, że opowieść o tych przykrych przeżyciach nie sprawia jej już bólu. O mało nie roześmiała się na widok przerażonej twarzy Janice. - Widzi pani, Janice, nie pani pierwszej i na pewno nie ostatniej zdarzyło się coś takiego. Dobrze, że pani się nie zakochała w tym mężczyźnie.

Pogadały jeszcze kilka minut i poprosiły się wzajemnie o dochowanie tajemnicy. Następnie każda wróciła do swoich zajęć.

Marisa była w doskonałym nastroju. Dobrze jej zrobiło wygadanie się przed Janice. Zyskała przez to dystans do całej sprawy.

Tego wieczora nie było już dużo pracy. W hotelu mieszkało tylko pięciu gości, dzięki czemu Marisa mogła spokojnie zjeść kolację.

Była już właśnie przy drugim daniu, gdy zobaczyła Teda. Zarumieniła się ze wstydu, bo nie zaczekała na niego z kolacją.

- Dużo pani dzisiaj namalowała? - spytał siadając do stołu.

- Nie, raczej nie. Nie miałam czasu.

- To przykre - powiedział powoli - że nigdy nie ma pani dość czasu na malowanie.

- Jestem do tego przyzwyczajona - spojrzała znad talerza na Teda. - Teraz zresztą mam i tak więcej czasu niż w Ameryce.

- Coś już pani sprzedała?

- Dotychczas dwa obrazy. - Marisie trudno było ukryć radość i dumę z tego faktu. - Dwa kolejne wstawiłam do sklepu Jonathana. Mówił mi w zeszłym tygodniu, że ktoś się nimi poważnie zainteresował.

- Chciałaby pani mieć więcej czasu na malowanie? - Ted patrzył na nią uważnie. Musiał się zorientować, na ile zależy jej na ulubionym zajęciu.

- Pewnie, że tak - uśmiechnęła się smutno. - Któregoś pięknego dnia okaże się, że mam czasu pod dostatkiem. Na razie mogę o tym tylko marzyć.

- Być może ten dzień nadejdzie wcześniej, niż pani myśli.

Ted wiedział już, że Marisa sprzedała już kilka swoich prac. Emma informowała go na bieżąco o wszystkim, co dotyczyło jej siostrzenicy. Wolał jednak porozmawiać z nią osobiście. Przed długie lata praktyki dziennikarskiej nauczył się odczytywać mowę ciała i mimikę. Bolesny wyraz oczu Marisy, gdy mówiła o swojej pracy, powiedział mu więcej niż słowa.

- Czy widział pan może gdzieś ciotkę? - spytała Marisa.

Najwyraźniej chciała zmienić temat. Nie podobało jej się, że Ted Lawrence wyciągnął ją na taką osobistą rozmowę. Nie miała ochoty zwierzać mu się.

- Widziałem ją dzisiaj rano - odparł Ted po chwili. - Wypiliśmy razem kawę.

- Tu jestem - rozległ się wesoły głos za plecami Marisy. Emma usiadła obok Teda. Postawiła przed sobą pełny talerz. - Taka jestem głodna, że sama sobie przyniosłam jedzenie z kuchni - wyjaśniła.

- Spóźniłaś się, ciociu - odezwała się Marisa, zadowolona, że nie musi już być z Tedem sam na sam. - Spotkanie ogrodników amatorów przedłużyło się pewnie?

- Nie, ale spotkałam przypadkowo Petera Beala. Wstąpiliśmy do baru na drinka i odwiózł mnie do domu.

Przypadkowe spotkania Petera i Emmy odbywały się ostatnio zadziwiająco często. Marisa była na tyle taktowna, żeby nie poruszać tego tematu w obecności Lawrence'a.

Jedli w milczeniu, każdy zajęty swoimi myślami. Ted nie skorzystał z zaproszenia Emmy na drinka i wstał od stołu zaraz, jak tylko skończył kolację.

- Ciekawe, gdzie się tak spieszył - zastanowiła się Emma nieco później, gdy poszły już z Marisą do kuchni.

- Może ma randkę - powiedziała Marisa.

- Nie - Emma pokręciła głową. - Mam wrażenie, że z nikim się aktualnie nie spotyka. Żyje solo, tak jak my. Cały czas pracuje. Teraz też pewnie wrócił do swojej książki.

Tymczasem Ted wcale nie pracował. Siedział w fotelu ze szklaneczką whisky w ręce. Butelkę scotcha przechowywał w najniższej szufladzie biurka. Rozwagał w myślach swój chytry plan. O, tak, Marisa zrobi wszystko, żeby mieć pomoc w hotelu.

Nie był biedakiem. Przez ostatnie dziesięć lat nie miał czasu na wydawanie pieniędzy, których sporo zarobił. Udało mu się za to bardzo korzystnie je ulokować. Bez problemu mógłby wykupić hotel, ale nie chciał tego.

Plan Teda był prosty, bardzo prosty, gdyby się powiódł, Ted dostałby to, na czym mu zależało bardziej niż na hotelu - Marisę.

Nie był obojętny tej dziewczynie, czuł to wyraźnie. Nie rozumiał, dlaczego zachowuje wobec niego taki dystans. Była uprzejma, ale chłodna. Ignorowała wszystkie próby nawiązania przyjaźni.

A Tedowi wcale nie chodziło o przyjaźń, tylko o coś więcej.

Dopił resztę whisky usiłując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz był z kobietą.

Musiał przeżyć coś, czego obawia się każdy mężczyzna. Susan przyszła do niego do domu, rzekomo po to, żeby omówić wstęp do książki. Zazwyczaj starał się spotykać z nią w jej biurze, ale od kiedy Cynthia się wyprowadziła, mieszkanie było takie puste. Zgodził się, żeby Susan go odwiedziła.

Przez godzinę pracowali, a potem Susan poprosiła o coś do picia. Poszedł do kuchni po kieliszek wina. Gdy wrócił Susan leżała na sofie bez butów i bez blezera. Z

uśmiechem wskazała mu miejsce obok siebie. Myślał, że chce z nim tylko porozmawiać.

Mylił się. Rzuciła się na niego i przywarła ustami do jego warg. Próbował odsunąć ją od siebie, ale nie było to możliwe. Susan rozebrała się błyskawicznie do naga.

- Kochaj mnie - zażądała.

Była piękną kobietą, a Ted czuł się bardzo samotny. Wylądowali w łóżku. Susan za wszelką cenę chciała doprowadzić do tego, by zostali kochankami. Ted jednak nie pragnął Susan, stwierdził, że była to tylko chwila słabości.

Przez ostatnie pół roku Ted żył jak pustelnik. Nie umawiał się z żadnymi kobietami.

RS

ROZDZIAŁ 5

Ted przyglądał się półkom z artykułami papierniczymi. Zatrzymał się przed regałem z papierem maszynowym. Sięgnął po pierwszą z brzegu paczkę, ale uświadomił sobie, że papier nie jest mu wcale potrzebny. Na biurku leżał jeszcze spory zapas.

Potrząsnął głową zły na siebie. Od rana nie mógł się skoncentrować. Wizyta Susan, zapowiedziana na dzisiejsze południe zupełnie wytrąciła go z równowagi. Zaklął pod nosem, wziął dwie czarno-czerwone taśmy do maszyny i poszedł z nimi do kasy.

Wyszedł na ulicę. Poranna mżawka przerodziła się w porządną ulewę. Jak na złość, nie przejeżdżała żadna taksówka. Żałował, że nie wziął ze sobą parasola. W końcu deszcze w Anglii nie były taką rzadkością. Postanowił pójść na obiad.

W „White Heart” było sucho i ciepło. W kominku wesoło trzaskał ogień. U miłej kelnerki zamówił piwo i coś do jedzenia.

Zapatrzył się w hipnotyzujące płomienie. Głośne „smacznego” kelnerki kazało mu wrócić do rzeczywistości. Ta rzeczywistość oznaczała zaś nieuchronne spotkanie z Susan Mallory. I to już niebawem, zerknął na zegarek. A on nie zdobył się na odwagę i nie porozmawiał z Marisą.

Po raz setny wrócił myślami do swego planu. Powiedzie się? Jak zareaguje Marisa?

Wziął do ust kawałek sera zastanawiając się, czy postępuje fair. Nie miał chyba prawa kłamać. Przypomniawszy sobie te rozliczne telefony i listy, jakimi zarzucała go Susan, gdy był w Ottawie. Powiedział jej wyraźnie, że chce z nią utrzymywać tylko służbowe kontakty, ale Susan nie chciała tego zrozumieć. Potrafiła przyjść nieproszona, jak wtedy, gdy wrócił z Kanady. Wcale jej nie przeszkadzało jego zmęczenie. Zupełnie nie mógł się jej pozbyć.

Tego dnia postanowił, że ucieknie przed nią do „Three Feathers”. Inaczej musiałyby codziennie znosić jej wizyty, na które zupełnie nie miał ochoty.

Skończył obiad i ponownie spojrzął na zegarek. Było już w pół do dwunastej. Musiał wracać do hotelu. Na szczęście przestało padać.

Marisa wyjrzała przez okno salonu na dwór. Słońce wyjrzało już spoza chmur. Ziemia była wilgotna, krople deszczu lśniły na bezlistnych gałęziach drzew. Ten widok natychmiast poprawił jej nastrój.

Pobiegła do atelier po szkicownik i ołówki. Po drodze zahaczyła jeszcze o swój pokój, żeby zabrać stamtąd sweter.

Poszła do pobliskiego lasu. Usiadła na przewróconym pniu drzewa. Był mokry, ale wcale jej to nie przeszkadzało. I tak będzie się musiała później przebrać, a tu miała doskonały widok.

Marisa zagłębiła się w pracy. Gdyby nie była tak zajęta, na pewno usłyszałaby kroki Teda.

- Czy nie przeszkadzam? - Marisa drgnęła na dźwięk jego głosu.

Odwróciła się przestraszona.

- Oczywiście, że nie - powiedziała uprzejmie, chociaż wcale tak nie było. Nie chciała się z nim znowu pokłócić.

- Przepraszam, że panią przestraszyłem. - Ted usiadł obok Marisy na pniu i zerknął ukradkiem na szkicownik. Rysunek był dobry, nawet bardzo dobry. Autorka doskonale oddała spokojny nastrój lasu. Nie skomplementował jej pracy, ponieważ wiedział, że nie lubi o niej rozmawiać.

- Cały swój wolny czas poświęca pani sztuce? - spytał.

- Tak.

Znowu poczuł zapach lawendy.

- Nie korzysta pani z żadnych rozrywek? Nie odczuwa pani potrzeby zrelaksowania się?

Marisa spojrzała na Teda uważnie. Nie wiedziała, do czego zmierza.

- No owszem, czasami mam ochotę poleniuchować. Nie mogę jednak sobie na to pozwolić, ponieważ każdą wolną chwilę wykorzystuję na malowanie.

Powiał zimny wiatr i Marisa wstrząsnęła się. Pod wpływem zimna brodawki jej piersi wyprężyły się i podniosły ku górze. Szybko skrzyżowała ręce na piersiach, nie dość szybko jednak, żeby Ted nie zauważył zmiany. Obecność Marisy zawsze go podniecała, ale tym razem był zupełnie wytrącony z równowagi.

Jeszcze żadna kobieta tak na mnie nie działała, pomyślał, głośno zaś powiedział:

- Chciałaby pani pewnie mieć jeszcze kogoś do pomocy w hotelu?

- Naturalnie, ale chwilowo jest to niemożliwe, bo jak pan z pewnością zauważył, nigdy nie mamy kompletu gości.

- Może dałoby się to jakoś urządzić.

- Ale jak? Powodzi nam się wprowadzić lepiej, ale nie na tyle, żeby zatrudnić kogoś nowego.

- A gdybym to ja ponosił koszty zatrudnienia dodatkowej osoby?

Marisa odwróciła się i spojrzała Tedowi prosto w oczy. Mówił serio?

- Dlaczego miałby pan to robić? Nasza umowa nie wspominała o tym ani słowem.

- Właściwie - powiedział Ted z namysłem - chciałbym, żeby mi pani oddała w zamian pewną drobną przysługę. Interesuje to panią? - Ted mówił na pozór obojętnym głosem.

- Jaką znowu przysługę? - zdziwiła się Marisa. Nie wiedziała jeszcze, o co chodzi, a już była spięta.

Ted odchrząknął. - Przyjedzie tu dziś po południu redaktorka odpowiedzialna za moją książkę. Nazywa się Susan Mallory.

Marisa patrzyła na niego nic nie rozumiejąc.

- Może zacznę od początku. Wydawnictwo, które ma opublikować moją książkę, należy do najlepszych w kraju. Zapalili się do tego pomysłu, ja zaś nie posiadałem się z radości, że udało mi się znaleźć tak znakomitego wydawcę. Susan Mallory skontaktowała się ze mną od razu po przejrzaniu pierwszego projektu. To było jeszcze, zanim pojechałem do Kanady. Susan jest nie tylko redaktorką, jest również bratanicą właściciela wydawnictwa, Waltera Mallory. Wbiła sobie do głowy, że jest we mnie zakochana, aczkolwiek absolutnie nie dawałem jej podstaw do tego. Nie chcę się zadowolić znajomością li tylko służbową. Nie mogę sobie pozwolić na jej nieuprzejme traktowanie i zdaje mi się, że będę potrzebował ochrony.

- Ochrony? - wyszeptała Marisa. Nadal nie wiedziała, do czego Ted zmierza, ale przeczuwała, że jej się to nie spodoba.

- Tak! Ochrony! - Ted prawie krzyczał. - Mariso... - objął ją ostrożnie. - Jest mi pani potrzebna! I to bardzo! Chciałbym, żeby pani udawała moją narzeczoną.

- Pańską narzeczoną? - Marisa nie wiedziała, czy ma krzyczeć, czy się śmiać. Nie, to po prostu śmieszne. Dowcip jak z kiepskiej komedii. Nigdy jeszcze nie słyszała, że mężczyźni boją się kobiet. Raczej było odwrotnie. Zachichotała nerwowo.

- Cieszę się, że pani uważa ten pomysł za zabawny. - Ted zdjął rękę z pleców Marisy. - Ja bym się nie śmiał, gdyby chodziło o pani karierę.

- A czego pan ode mnie oczekuje? Konkretnie?

- Niewiele. Chcę po prostu dać Susan do zrozumienia, że nie może liczyć na wzajemność z mojej strony, bo jestem już zajęty. Nie może to się odbyć naturalnie zbyt drastycznie, bo z zemsty będzie chciała mi zaszkodzić, a wtedy z książki nici.

- To znaczy, że nie podpisał pan umowy? - Marisa wiedziała, że Ted nie żartuje.

- Podpisałem i to taką, której nie mogę zerwać. Ale jeśli świadomie zrezygnują z reklamy, to już mogę się pożegnać z sukcesem. Jeśli narażę się Susan, to z łatwością przekona wuja, że nie warto wydawać pieniędzy na taką marną książkę jak moja. Ona jest profesjonalistką i Mallory bardzo liczy się z jej zdaniem.

Milczeli przez chwilę. Ted powiedział wszystko, co miał do powiedzenia. Marisa myślała intensywnie.

- Naprawdę zatrudni pan kogoś w hotelu?

- Tak, ale w zamian musi mi pani pomóc.

- Na jak długo?

- Co na jak długo? Aha, myśli pani o nowym pracowniku? - Ted powstrzymał triumfalny okrzyk radości. Marisa chciała współpracować. Nie pomylił się co do niej. Zrobiłaby wszystko, żeby mieć więcej czasu na malowanie.

- Trzy miesiące. Będę opłacał pełnoetatowego pracownika przez trzy miesiące.

- A jak długo mam udawać pańską narzeczoną?

- Być może tylko dzisiaj. Obwieszczę Susan natychmiast tę radosną nowinę. Ma spędzić weekend gdzieś tu, w okolicy. Kiedy usłyszysz o naszych zaręczynach, nie będzie mnie nachodzić.

- Zgoda - powiedziała Marisa. - Zawrzyjmy tę transakcję. Proszę mi tylko powiedzieć, co mam robić. - Nie mogła odrzucić tej korzystnej propozycji, a jednocześnie obawiała się, czy nie skończy się to wszystko katastrofą.

Ted wstał i przeciągnął się. - Niech się pani po prostu zachowuje jak moja narzeczona. Tak koło trzeciej proszę przynieść herbatę do mojego gabinetu. Przedstawię panią Susan. I niech się pani niczego nie obawia. To nie będzie takie trudne. No i... - zawahał się na chwilę - niech mnie pani czasem nie spoliczkuje, jeśli panią przytulę lub pocałuję. Trudno by było przekonać wtedy Susan, że jesteśmy zaręczeni.

Marisa otworzyła usta, żeby zaprotestować, ale nie zdążyła. Ted odwrócił się i poszedł do hotelu.

Marisa zabrała swoje rzeczy i powoli ruszyła za nim. Ciekawe, co powiedzą w hotelu na ich całkiem nieoczekiwane zaręczyny. Wątpliwe, żeby ktoś w nie uwierzył.

Punktualnie o trzeciej Marisa poszła schodami na górę do gabinetu Teda. W rękach niosła tacę z herbatą i ciastem cytrynowym. Sama upiekła to ciasto. Ciekawe, czy będzie smakowało Tedowi? Zacisnęła wargi, zła na siebie. W końcu to przecież wszystko jedno, czy je pochwali, czy nie. Nie ma potrzeby aż tak wczuwać się w rolę narzeczonej. Przecież i tak za niego nie wyjdzie.

Stała niezdecydowana pod drzwiami. Odetchnęła głęboko, zapukała i weszła do środka. Jako narzeczona nie musiała czekać, aż ją poprosi.

- Marisa - powitał ją serdecznie Ted. Podeszedł do niej i zabrał z jej rąk tacę. - Tak się cieszę, że przyszłaś. Chciałbym ci kogoś przedstawić.

Uśmiechnął się do niej ciepło, odstawił tacę na biurko i objął ją ramieniem.

Susan nie wstała do prezentacji. Marisa stwierdziła z irytacją, że jest to zachwycająco piękna kobieta. Dlaczego Ted odrzucił jej względy?

- W tej sytuacji należą się chyba państwu gratulacje - zauważyła chłodno. Pogardliwym wzrokiem zmierzyła Marisę od stóp do głów.

- Dziękuję - szepnęła Marisa. Uśmiechnęła się najuprzejmiej, jak umiała. Ted posadził ją delikatnie w fotelu obok Susan.

- Nie chciałabym wam przeszkadzać w pracy - powiedziała szybko.

- Wcale nam nie przeszkadzasz, kochanie - pospieszył z zapewnieniem Ted. Nalał herbatę do filiżanek. - Przyda nam się krótka przerwa. A co to za ciasto? Czy sama je upiekłaś, skarbie?

- Tak, dziś rano.

A więc zauważył! Marisa natychmiast przywołała się do porządku. Postanowiła, że nie będzie się zachowywać głupio. Ted tymczasem za bardzo wczuł się w rolę zakochanego.

Susan patrzyła na nią z lodowatym uśmiechem. - Ted mówił mi, że jest pani artystką. Zawsze myślałam, że artyści nie zajmują się tak przyziemnymi sprawami jak pieczenie ciasta.

- Marisa jest wszechstronnie uzdolniona - wtrącił Ted. Ta uwaga był dość dwuznaczna i Marisa zaczerwieniła się mimo woli.

- Jak miło - skwitowała Susan ozięble jego słowa. - Od dawna są państwo zaręczeni? Ted nie wspomniał mi o tym ani słowem, gdy rozmawiałam z nim na początku tygodnia.

- Doszliśmy do porozumienia dwa dni temu - odparł Ted łagodnie. - Nie mieliśmy jeszcze czasu, żeby kupić obrączki, jesteśmy oboje bardzo zajęci. - Uśmiechnął się do Marisy promiennie.

Wypili herbatę. Marisa nie mogła się doczekać końca tego spotkania. Susan formalnie ją przesłuchiwała. Na szczęście Ted wspomagał ją zawsze, gdy było trzeba. Dzięki temu Marisa nie zblamowała się przed panną Mallory.

Z westchnieniem ulgi zamknęła za sobą drzwi.

- Wróćmy do pracy - Ted zwrócił się do Susan. Chciał skierować rozmowę na służbowe tory.

- Kiedy ślub? - zapytała Susan.

- Jeszcze nie ustaliliśmy terminu - odparł spokojnie nie odrywając wzroku od maszynopisu.

- Boisz się? - Chciała wiedzieć.

- Nie, skądże! Ożeniłbym się nawet jutro, ale to Marisa zwleka. Chce, żebym najpierw skończył książkę. Uważa, że będę wtedy spokojniejszy. Jedźmy dalej, Susan. Chciałbym wieczorem wyjść z Marisą.

- Masz już zaplanowany wieczór?! - w głosie Susan brzmiało rozczarowanie. - Myślałam, że spędzimy go razem. Powiedziałam moim gospodarzom, że wrócę późno. Chciałam mieć dość czasu na omówienie książki.

No to miałaś pecha, pomyślał Ted złośliwie i miał przez chwilę ochotę powiedzieć jej to głośno. Rozmyślił się jednak. Wspólna kolacja mogłaby go przybliżyć do Marisy, a przecież bardzo mu na tym zależało.

Sięgnął po kolejną stronę maszynopisu.

- Możesz pójść z nami - powiedział mimochodem. - Marisa nie będzie miała nic przeciwko temu. Wybieramy się do „Wanga”. To ulubiona restauracja Marisy.

Nie interesowało go, czy Susan lubi chińszczyznę.

Pracowali jeszcze przez godzinę, a potem Ted zaproponował Susan, żeby się odświeżyła przed kolacją. Sam poszedł szukać Marisy. Miał nadzieję, że nie miała żadnych planów na wieczór. A jeśli przyjęła w końcu zaproszenie doktora?

Znalazł Marisę w jej pokoju. Siedziała przed lustrem, szczotkując włosy, które spływały łagodnymi pasmami na jej smukłe plecy. Tak bardzo chciał dotknąć tych jedwabistych jasnych włosów. Bał się jednak, że zrazi Marisę do siebie.

- Niech pani posłucha, co się wydarzyło - zaczął od progu.

- Co takiego? - Marisa odwróciła się do niego przestraszona.

- Musimy iść zaraz na kolację z Susan - wyjaśnił. Widząc niemy protest w jej oczach, dodał szybko. - Nie udało mi się temu zapobiec. Bardzo panią proszę, Mariso!

Patrzyła na niego rozgniewana. - Tego nie było w umowie, panie Lawrence. Poza tym chciałam wieczorem malować.

- Ja też nie mam na to specjalnej ochoty - westchnął ciężko. - Okay. Jeśli zgodzi się pani pójść z nami, opłacę pomoc na cztery miesiące, zamiast na trzy. - Usiadł na brzegu łóżka, czekając na odpowiedź Marisy. Nie był wcale pewien, czy uda mu się przekupić Marisę.

- Na cztery miesiące? - Marisa rozważała w myślach wszystkie za i przeciw. - W porządku. Zgadza się. Kiedy mam być gotowa i w co mam się ubrać?

Ted powściągnął uśmiech zadowolenia. - Niech pani będzie gotowa na siódmą. Idziemy do „Wanga”. - Chciał ją jeszcze poprosić, żeby ubrała się w tę seksowną błękitną kiecę, w której już ją widział, nie wspomniał jednak o niej. - Zostawiam pani wolną rękę co do ubioru. Na pewno znajdzie pani coś odpowiedniego.

Skłonił się lekko i wrócił do siebie. Zmusił Susan, żeby pracowała z nim aż do ostatniej minuty. W końcu po to tu przyjechała.

Za pięć siódma zapukał do drzwi Marisy.

- Proszę - usłyszał jej słaby głos.

Marisa stała w drzwiach łazienki z rękami za plecami.

- Nie mogę sobie poradzić z tym cholernym suwakiem - westchnęła. Odwróciła się plecami do Teda. - Niechże mi pan pomoże.

Podszedł do niej szybko i schwycił zapięcie drżącymi palcami. Dobrze wiedział, czemu tak drżą. Marisa była w swojej błękitnej sukni i... nie miała na sobie stanika. Siłą woli pohamował pragnienie, żeby dotknąć jej nagich pleców. Poczł, że narasta w nim podniecenie. Jakoś udało mu się dociągnąć suwak do końca.

Nie wytrzymał jednak. Złapał Marisę za ramiona i odwrócił ją do siebie.

- Co się...

Zdusił jej pytanie pocałunkiem.

Marisa wiedziała, że powinna się bronić, ale nie była w stanie. Delikatny, a zarazem namiętny pocałunek Teda odebrał jej zdolność trzeźwego myślenia. Czła się nieopisanie dobrze w jego ramionach.

Ted wyczuł, że skapitulowała i przyciągnął ją mocniej do siebie.

Marisa nie mogła zebrać myśli. Co ten mężczyzna z nią wyprawiał?

Głośne pukanie do drzwi kazało im wrócić do rzeczywistości. Ted zauważył rumieńce na policzkach Marisy. Tak, nie był jej obojętny.

- Całkiem udana próba. To na wypadek, gdyby przyszło nam udowodniać światu, że naprawdę coś nas łączy. - Nie wypuszczając Marisy z ramion zawołał: - Proszę!

W drzwiach stanęła Susan.

- Przepraszam, mam nadzieję, że nie przeszkadzam - odezwała się nieco ironicznie. - Umieram już z głodu.

Marisa próbowała wysunąć się z objęć Teda, ale nie pozwolił jej na to.

- Właściwie przeszkodziłaś nam, Susan. Zresztą i tak już pora jechać na kolację. Jesteś gotowa, kochanie?

Skierował to pytanie do Marisy, która wyswobodziwszy się wreszcie z jego uścisku, szukała gorączkowo torebki.

Jazda do restauracji trwała dla Marisy zbyt długo. Na szczęście nie musiała uczestniczyć w konwersacji. Susan gadała za wszystkich.

Nie przestała nawet w restauracji. Marisa była jej nieomal wdzięczna za ten nieprzerwany potok słów, ponieważ mogła spokojnie pomyśleć o pocałunku Teda. Czy mógł on oznaczać zainteresowanie jej osobą? Nie bądź idiotką, skarciła się w duchu. Jeden pocałunek nic nie znaczy. Ted wiedział pewnie, że Susan przyjdzie za chwilę i chciał uprawdopodobnić ich narzeczeństwo.

W drodze powrotnej Marisa była już jednym kłębkim nerwów. Zakochany wzrok Teda, czułości, jakimi ją obdarzał sprawiły, że miała już dość tej maskarady. Teraz też położył dłoń na jej kolanie i gładził je, nie przejmując się bynajmniej tym, że prowadzi samochód. Marisa spojrzała na niego ostro, ale nieznacznym ruchem głowy w stronę Susan zaznaczył, że to tylko gra.

Do hotelu dotarli późno. Odprowadzili Susan do jej samochodu i pożegnali się z nią. Poczekali, aż odjedzie.

- Nieźle się pani dzisiaj spisała - pochwalił Ted Marisę.

- Cieszę się, że spełniłam pana oczekiwania - odparła chłodno.

- Mariso - zaczął niecierpliwie - dla żadnego z nas nie było to łatwe. Myślę jednak, że zrozumiała pani moje obawy co do Susan. Wie już pani, co to za człowiek.

- Zrozumiałam, miał pan rację, ale nie przypuszczałam, że stale będzie mnie pan dotykał.

- Musiałem przecież przekonać Susan, że szaleję za panią i to tak bardzo, że stale muszę pani dotykać.

- Tak - mruknęła Marisa. - Ciężko jest się tak przestawić.

- To może poćwiczmy trochę, na wypadek, gdyby Susan zawitała tu ponownie - zaproponował Ted i wziął Marisę w ramiona. Pocałował ją w usta.

Marisa znowu nie była w stanie obronić się. Była zupełnie bezradna. Pocałunek Teda był niezwykle przyjemny. Po chwili, która trwała wieczność, oderwali się od siebie.

W oczach Teda żarzył się ogień namiętności, Marisa zaś wbiła wzrok w ziemię, zmieszana i przerażona swoją reakcją, a raczej jej brakiem.

- Boisz się - stwierdził Ted półgłosem. - Boisz się przyznać, że lubisz, gdy cię dotykam i że ci to sprawia przyjemność. Zburzyłem mur, który wybudowałaś między nami.

Marisa czuła, że jej policzki płoną.

- Masz bardzo wysokie poczucie własnej wartości - rzekła oziębło, odwróciła się na pięcie i weszła do hotelu.

Pobiegła szybko do swego pokoju. Tam, w czterech ścianach, było spokojnie i bezpiecznie.

Ted nie gonił jej. Wiedział, że Marisa potrzebuje teraz samotności.

ROZDZIAŁ 6

Apetyczny zapach szynki i jajek podrażnił nozdrza Teda, który właśnie wszedł do jadalni. Rozejrzał się po sali i zmarszczył czoło. Każdy stolik był zajęty, a to znaczyło, że nie będzie mógł swobodnie porozmawiać z Marisą.

Do jego stolika podeszła Emma z filiżanką parującej kawy w ręce.

- Dzień dobry. Wygląda pan na wypoczętego - zauważyła, stawiając przed nim kawę. - Kiwnął głową z uśmiechem i podziękował za kawę. - Widziała pani Marisę?

- Jest w kuchni. Pomaga Florence. - Emma pochyliła się ku niemu i powiedziała szeptem: - Wie pan, od wczoraj mamy pełne obłożenie. - W jej głosie słychać było dumę z tego faktu. - Życzy pan sobie pełen zestaw śniadaniowy?

- Jak najprędzej. Jestem okropnie głodny, a poza tym spodziewam się wizyty mojej redaktorki i muszę się przed nią solidnie posilić.

Emma westchnęła. - Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z wczorajszego wieczoru. Kto tak ciężko pracuje, jak pan i Marisa, zasługuje na relaks. Nie pamiętam, kiedy ostatnio wychodziła wieczorem.

Emma spojrzała wyczekująco na Teda w nadziei, że opowie jej więcej o wczorajszej kolacji. Od siostrzenicy nie mogła się niczego dowiedzieć.

Pojawienie się Janice z talerzem wypełnionym po brzegi jajkami na szynce zwolniło Teda z obowiązku udzielenia Emmie wyczerpującej odpowiedzi.

- Dziękuję, Janice - uśmiechnął się do dziewczyny. - Jakoś inaczej pani dzisiaj wygląda.

Janice zaczerwieniła się aż po korzonki włosów. - Byłam u fryzjera.

- Bardzo pani do twarzy w nowej fryzurze.

- Dziękuję, panie Lawrence - wyjąkała Janice, dygnęła jak pensjonarka i wróciła do kuchni.

- Cały dzień będzie pan pracował nad książką? - spytała Emma.

- Na to wygląda. Nie każdy autor ma takie szczęście, jak ja, że redaktorki fatygują się do niego osobiście.

Ted nie wyglądał na zachwyconego takimi względami ze strony wydawnictwa. Emma chciała już spytać, czy nie mógłby się od tego wymigać, ale uprzedził ją.

- Czy rozmawiała pani z Marisą o nas? To znaczy, czy powiedziała pani, że ona i ja... że... zbliżyliśmy się ostatnio.

- Może pan mówić jaśniej?

- Krótko mówiąc, zaręczyliśmy się.

- Zaręczyliście się? - osłupiała Emma. Opadła z wrażenia na krzesło, przy którym cały czas stała.

- Ależ to niemożliwe! Przecież nie znosiliście się. Jedno schodziło z drogi drugiemu i odwrotnie.

- Często pozory mylą, Emmo. W końcu już ponad miesiąc mieszkamy pod jednym dachem. Przed kilkoma dniami zdaliśmy sobie sprawę z tego, że się w sobie zakochaliśmy, no i zaręczyliśmy się.

- Co za niespodzianka! To nawet więcej niż niespodzianka - to istny szok! Ale dlaczego Marisa nie powiedziała mi o tym ani słowa?

- Tego nie wiem. Może chciała jeszcze z tym poczekać? - Ted był bardzo z siebie niezadowolony. Nienawidził kłamstwa, a teraz łąał Emmie w żywe oczy. Nie miał jednak alternatywy. Nie mógł wtajemniczyć jej w ich transakcję.

- Wiem, że trudno to pani pojąć, ale my od początku poczuliśmy do siebie jakiś dziwny pociąg. Zaprzyjaźniliśmy się, a ta przyjaźń przerodziła się w miłość.

Emma spojrzała bacznie na Teda, zanim się do niego uśmiechnęła.

- Będę musiała wyciągnąć moją siostrzenicę na spytki. A tak na marginesie - od dawna wiedziałam, że pasujecie do siebie. Cieszę się, że doszliście do tego samego wniosku. Kiedy ślub?

- Wkrótce - odparł Ted wymijająco. - Czy mogłaby pani powiedzieć Marisie, że muszę z nią natychmiast porozmawiać?

Emma skinęła głową, wstała i pospieszyła do kuchni. Ted pogratulował sobie w duchu. Na razie jego plan przebiegał bez zarzutu.

- Co się stało? - zdyszana Marisa pojawiła się przy stoliku.

Ted przełknął kęs, który właśnie przeżuwał i wskazał Marisie krzesło.

Powiedziała mu rozzłoszczona, że nie ma czasu na pogawędki, bo w kuchni potrzebna jest teraz każda para rąk.

- Powiedziałem Emmie, że się zaręczyliśmy - oznajmił Ted.

Marisa jednak usiadła.

- Pan chyba zwariował! - krzyknęła. W jej oczach pojawiły się niebezpieczne błyski.

Ted uniósł brwi rozbawiony. - Zanim wpadnie pani w histerię, proszę mnie wysłuchać. - Twarz Marisy przybrała wyraz wrogości, wobec czego Ted natychmiast zmienił taktykę.

- Proszę, to ważne.

Marisa opanowała się już. - W porządku, słucham pana.

- Wczoraj wieczorem, kiedy poszła pani do toalety, Susan oświadczyła, że chce ze mną pracować przez cały weekend. Uparła się i nie mogłem temu zaradzić.

- Ale co ja mam do tego? Będziecie sobie pracować w pańskim gabinecie tak, jak dzisiaj. Poza tym to naprawdę nie powód, żeby opowiadać ciotce o naszych rzekomych zaręczynach. - Patrzyła nieufnie na Teda.

- A właśnie, że to był powód. Susan spędzi tu cały weekend, rozumie pani?

- Nie rozumiem i nie chcę rozumieć! - rozgniewała się Marisa. - Nie będę okłamywać ciotki.

- Zrobi pani to, co każę, do cholery! - wybuchnął. Pochylił się nad Marisą i ujął jej dłonie w swoje. - Ja znam lepiej Susan Mallory niż pani. Płacę ponadto za pani pomoc, czyż nie? Czemu mają służyć te pani wieczne protesty? Chce pani, żebym podwyższył opłatę?

- Ależ nie - wyjąkała Marisa speszona. - Nie sądziłam jednak, że w cenę transakcji wliczone będzie oszukiwanie cioci. Zresztą ona i tak nam nie uwierzy.

- O to niech się pani już nie martwi - powiedział Ted puszczając dłonie Marisy. - Omówiłem już z nią wszystko.

- Co takiego?! Pan jest... z pana... - Marisa umilkła pod wpływem groźnego spojrzenia Teda. Mój Boże, na co jej przyszło! Musi dalej brnąć w tę nieprawdopodobną historię.

- Okay, więc co mam robić?

Marisa była akurat zajęta, gdy przyjechała Susan. Zniknęli z Tedem w jego gabinecie. Po jakimś czasie zaniósł im herbatę i po krótkiej pogawędce wyszła tłumacząc się nawąłem pracy.

O piątej Susan zdecydowała się odjechać. Ted odprowadził ją do samochodu.

Marisa odetchnęła z ulgą patrząc przez firankę na odjeżdżający samochód.

Ted nie wrócił do hotelu. Poszedł powoli w dół ulicy. Pewnie ma ochotę na drinka i idzie do pubu, pomyślała Marisa.

Ona sama też by się chętnie czegoś napiła. W hotelu było spokojnie. Usiadła na wysokim stolku i naląła sobie sherry. Już pierwszy łyk pozwolił się jej rozluźnić. Ten weekend zaliczała do najgorszych w swoim życiu.

Precyzyjnie wykonywała polecenia Teda. Susan o mało nie dostała szału, gdy po raz kolejny im przeszkodziła. Ted kazał jej zaglądać do gabinetu co jakiś czas.

Gdy wniosła tacę z herbatą, zerwał się zza biurka, odebrał od niej tacę i pocałował ją w usta. Tak, tego popołudnia znakomicie odegrali role narzeczonych. Marisa nawet drżała pod wpływem pieścizot Teda.

I co w tym dziwnego? W końcu był atrakcyjnym mężczyzną. Każda kobieta reagowałaby podobnie, jak ona.

Opróżniła kieliszek, odstawiła go na kontuar i poszła na górę do swego atelier.

Wieczorem Emma i Marisa siedziały w ich małym saloniku na trzecim piętrze.

- Jak to dobrze, że ten dzień już się skończył - westchnęła Emma spoglądając na siostrzenicę. - Nóg już nie czuję. Czy uzgodniliście już z Tedem termin? - spytała znienacka.

Marisa czytała właśnie jakiś kryminał o pasjonującej akcji. Odłożyła książkę, żeby odpowiedzieć na pytanie ciotki. Nadeszła wreszcie ta chwila, której się tak obawiała. Nie będzie okłamywać swej ukochanej cioci, powie jej prawdę.

- Ciociu Emmo - zaczęła spokojnie. W pewnym momencie do salonu wszedł Ted. Usiadł obok Emmy na sofie. Marisa obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, na co zareagował promiennym uśmiechem.

- A wiesz, Ted, właśnie pytałam Marisę, czy uzgodniliście już termin ślubu.

- A ja - wtrąciła Marisa - chciałam opowiedzieć cioci wszystko o naszych „zaręczynach”. Całą prawdę.

Ted nadal się uśmiechał.

Emma zachichotała. - Tak się cieszę! A już nie wierzyłam, że się polubicie. Na szczęście pomyliłam się. Zostawię was teraz samych. - Wstała i mrugnęła do nich porozumiewawczo. - Peter zaprosił mnie na drinka. Nie czekaj na mnie, Mariso. Dokończymy naszą rozmowę jutro.

Marisa patrzyła przerażona, jak ciotka wychodzi z pokoju.

Przez chwilę w saloniku panowała pełna napięcia cisza. Marisa postanowiła ją przerwać wstając, ale Ted jej to uniemożliwił.

- Niech pan mnie puści, do cholery! - syknęła.

- Muszę z panią porozmawiać. - Ted trzymał ją mocno za rękę. Posadził ją sobie na kolanach.

- Nie muszę chyba siedzieć u pana na kolanach, żeby pana wysłuchać! - wyrwała mu się gwałtownie. - Dyszała ciężko, a oczy jej lśniły od gniewu.

- Nie chcę, żeby mówiła pani Emmie prawdę. Jeszcze nie.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ książka nie jest jeszcze gotowa i Susan na pewno jeszcze tu przyjedzie. Proszę panią o dwa tygodnie cierpliwości. Poprosimy Emmę, żeby zachowała nasze zaręczyny w tajemnicy, jeśli pani na tym zależy. Wiem, że inaczej umawialiśmy się, ale jeśli się pani zgodzi, to jestem gotów przedłużyć opłacanie pomocy do pięciu miesięcy.

W pierwszej chwili Marisa chciała odmówić, ale w porę się opamiętała. Przez pięć miesięcy mogłaby namalować dwa duże obrazy.

- Tak? - spytał łagodnie.

- Tak - zgodziła się. - Ale pod jednym warunkiem.

- Jakim?

- Niech mnie pan tak ciągle nie dotyka... to znaczy... - urwała czerwieniąc się. - Uważam, że to nie jest konieczne.

Ted skrzyżował ręce na piersiach.

- Czy to sprawia pani przykrość?

- Tak... nie - wyjąkała Marisa. - Nie o to przecież chodzi! W końcu wcale nie jesteśmy zaręczeni. Nawet się dobrze nie znamy. Nie musimy tak bardzo wczuwać się w rolę zakochanych. - Marisa nigdy by mu nie powiedziała, co się z nią dzieje, gdy tylko się do niej zbliża.

- No, dobrze - Ted postanowił uwzględnić prośbę Marisy. - Na pewno pani tego chce?

- Owszem - odparła Marisa stanowczo, patrząc mu prosto w oczy.

ROZDZIAŁ 7

Deszcz lejący strumieniami nie mógł poprawić podłego nastroju Marisy. Zbiegła w dół, ponieważ dzwonił telefon.

Podniosła słuchawkę, ale nikt się nie zgłosił. I po co tak się spieszyłam, pomyślała zniechęcona. Przez cały ostatni tydzień miała tyle pracy, że nie znalazła czasu na malowanie. Ted był dla niej bardzo miły, jak prawdziwy narzeczony, niemniej jednak nie postarał się o kogoś do pomocy.

Będzie musiała rozmówić się z nim i to zaraz, natychmiast. Skierowała się już na schody, żeby pójść do niego na górę, ale w tym momencie pojawili się w holu nowi goście.

Dopiero po kolacji mogła z nim porozmawiać.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - mruknęła wchodząc do pokoju Teda.

- Ależ oczywiście, że nie! Chętnie zrobię sobie przerwę w pracy. Napije się pani?

- wyciągnął z szuflady butelkę sherry. - Proszę mi podać kieliszki. Stoją za panią na regale.

Podawała to, o co prosił.

- Mam wrażenie, że chce mi pani coś powiedzieć.

- Tak - odparła Marisa, ale zupełnie nie wiedziała, jak zacząć. Odchrząknęła nerwowo. - Ostatnio prawie nie miałam czasu na malowanie. Zastanawiałam się, kiedy pan tu wreszcie zatrudni kogoś dodatkowo?

Ted uśmiechnął się. - Nie zapomniałem o tej obietnicy. Sam ją przecież złożyłem. Tylko, że miałem tak strasznie dużo pracy...

- W przeciwieństwie do mnie. Marzyłam o wolnej chwili. Hotel prosperuje coraz lepiej.

- Wiem - odparł łagodnie. - Postaram się o kogoś w ciągu najbliższych dni.

Marisa spojrzała na niego pogardliwie. - To takie męskie! Obiecujecie dziewczynom wszystko, żeby tylko dostać to, o co wam chodzi. Jakaż ja byłam głupia, że zdecydowałam się panu pomóc. Pan pewnie w ogóle nie miał zamiaru nikogo zatrudniać.

Rysy twarzy Teda stwardniały. Podniósł się i powiedział spokojnie.

- Reaguje pani chyba przesadnie. Oczywiście, że dotrzymam słowa. Dlaczego przejawia pani taką wrogość wobec mężczyzn? Czy miała pani jakieś nieprzyjemne doświadczenia z nimi?

Marisa wyprostowała się dumnie. - To nie powinno pana obchodzić. Nie spełnił pan warunków umowy i to jest w tej chwili najważniejsze.

- Miałem mnóstwo pracy. Poza tym wolałbym odłożyć tę rozmowę na później, kiedy nie będzie już pani taka rozhisteryzowana.

No, nie, tego już było za dużo! Marisa odwróciła się z godnością i wyszła z pokoju Teda.

Uśmiechnął się rozbawiony, gdy trzasnęła drzwiami za sobą. Dobra nasza, pomyślał. Faza numer dwa przebiega lepiej, niż przypuszczałem.

Kilka godzin później Marisa nadal gotowała się ze złości. Krążyła po pokoju żalując, że nie ma numeru telefonu Susan Mallory. Zadzwończyła do niej i w sekundę zniszczyła karierę Tedowi. Nie, zreflektowała się, nie mogła być aż tak podła.

Ktoś zapukał do drzwi. Marisa zerknęła w lustro.

- Chwileczkę - zawołała i założyła szlafrok. Bielizna nocna, którą już miała na sobie, była zanadto przejrzysta.

Otworzyła drzwi i ujrzała Teda. Wyciągnął w jej stronę bombonierkę.

- Proszę to potraktować jako propozycję rozejmu.

Marisa patrzyła zmieszana na złocistobiałe pudełko. - Dziękuję za czekoladki i za przeprosiny. Niech pan wejdzie.

Teraz była jej kolej na usprawiedliwienie się.

- Ted - zaczęła ja też czuję się winna. Nie miałam prawa zarzucać panu niesłowności. Tak ciężko pan przecież pracuje.

- Poniekąd miała pani rację. Powinienem być od razu kogoś zatrudnić.

Marisa odłożyła bombonierkę na nocny stolik i spojrzała wyczekująco na Teda. Uznała ich rozmowę za zakończoną, on jednak był, zdaje się, innego zdania.

- Późno już - oznajmiła w nadziei, że zaraz sobie pójdzie.

Nie odczytał tej wskazówki.

- Tak - zgodził się w zamyśleniu. - Myślę, że powinniśmy jeszcze coś zrobić, zanim się pożegnam.

- Co na przykład?

- Przypieczętować zgodę pocałunkiem. - Podeszedł powoli do Marisy. Zatrzymał się na dwa kroki przed nią i pogładził ją po policzku. - To taki stary zwyczaj - szepnął.

Marisa przełknęła nerwowo ślinę ignorując wewnętrzny głos, który radził jej ucieczkę. Nie mogła się ruszyć z miejsca. Ogarnęło ją pragnienie dotknięcia muskularnych ramiona Teda. Mimo woli podniosła rękę i objęła go.

On też ją objął i przyciągnął do siebie. Pochylił się nad o wiele niższą dziewczyną i złożył na jej ustach delikatny pocałunek.

Marisa zamknęła oczy. To było takie cudowne uczucie. Ted przytulił ją mocniej, jak gdyby w ogóle nie miał zamiaru wypuścić jej z objęć.

Serce Marisy waliło jak młotem. Zakreśliło się jej w głowie. Wyłączyła myślenie. Chciała tylko czuć bliską obecność Teda.

Odwzajemniła jego pocałunki z taką namiętnością, jakiej się po sobie wcale nie spodziewała. To była jej odpowiedź na nieme pytanie Teda. - Jęknął cicho.

- Mariso...

- Ted...

Powodowani tym samym impulsem usiedli na łóżku.

- Nie powinniśmy... - ocknęła się Marisa.

- Nie masz racji, kochanie. Właśnie powinniśmy. Wiedziałaś, że do tego dojdzie. Odpreż się.

Marisa przypomniała sobie ich pierwszy wieczór w barze. Już wtedy zdała sobie sprawę, że pragnie tego mężczyzny. Bała się swych uczuć.

Ted pokrywał jej twarz drobnymi pocałunkami.

- Och, Mariso - szepnął jej do ucha. Zapragnąłem cię od pierwszej chwili, w której cię ujrzałem.

Z Marisą działo się to samo. Dwie połówki jabłka odnalazły się w kancelarii adwokackiej Petera Beala.

Zadrzała, gdy oczy ich spotkały się. Nie potrzebowali słów, żeby się przekonać, co czują. Marisa wtuliła twarz w szyję Teda. Przytulił ją mocniej do siebie. Czuł ucisk jej miękkiego biustu na swej piersi, ciepło jej skóry...

- Och, Ted - szepnęła wyczuwając wyraźnie jego podniecenie. Pocałował ją w szyję.

- Tak, kochanie, chcesz mnie. Czuję to, więc nie zaprzeczaj. Oboje tego chcemy.

Ted dawno już nie był tak podekscytowany. I znowu ich usta spotkały się w burzliwym, pożądliwym pocałunku.

Marisa nie była w stanie myśleć. W tej chwili kierowała się tylko emocjami. Wszystko stało się nagle takie proste. Ted pragnął jej, a ona pragnęła jego. Puzzle zaczęły się układać w jedną całość.

- Będziemy się dzisiaj kochać i będzie nam bardzo dobrze razem, zobaczysz - oznajmił Ted, błędząc dłońmi po całym jej ciele. - Nie mogę przestać cię dotykać, kochanie. Muszę zobaczyć, jak twoje słodkie ciało budzi się pod wpływem pieścizot.

Marisa zdjęła szlafrok. Ted spojrział z zachwytem na jej granatową, przezroczystą koszulkę. Sięgnął palcami do jej piersi i zaczął je delikatnie masować okrężnymi ruchami. Marisa odrzuciła głowę do tyłu poddając się pieszczotom Teda.

- Mój Boże, jak ty jesteś piękna! - szepnął w zachwycie. - Powiedz, że chcesz mnie. Powiedz to, proszę!

- Tak, Ted - chcę cię.

Ted podniósł się. Rozebrał się szybko, a potem pomógł Marisie zdjąć jej piękną, ale zupełnie teraz niepotrzebną bieliznę.

Ciepłe dłonie Teda badały każdy centymetr kwadratowy ciała Marisy, gładziły jej aksamitną skórę.

- Tak, kochanie - mruknął Ted czując, jak wiję się z rozkoszy. Rozsunął jej uda. Marisa zeszywniała nagle.

- Nie, poczekaj! Musimy przestać. - Uświadomiła sobie, że ta nader przyjemna zabawa w łóżku może mieć poważne konsekwencje.

- Nie przejmuj się tym - powiedział Ted. - Nie zajdziesz w ciążę, obiecuję.

Marisa patrzyła na niego w milczeniu. Zastanawiała się, czy może mu zaufać. Czytając w jej myślach, powiedział:

- Możesz mi zaufać. Wszystko będzie dobrze, uwierz mi.

Przywarła do niego całym ciałem. Doskonałość zespolenia z Tedem sprawiła, że krzyknęła głośno. Nigdy jeszcze nie była w takim stanie. Co za cudowne uczucie!

Wczepiła palce w jego gęste włosy czując niesamowite napięcie w podbrzuszu. Jęknęła unosząc biodra w górę.

- Och, Ted, nie wytrzymam tego dłużej!

W tym momencie świat eksplodował. Marisa osiągnęła tak oszałamiające spełnienie, jakiego nigdy nie zaznała. Kilka sekund później Ted dołączył do niej.

Marisa leżała wyczerpana bez ruchu. Nie chciała, żeby cokolwiek zakłóciło jej skupienie. Dopiero po kwadransie otworzyła oczy i zerknęła na leżącego obok Teda. Wyglądał tak, jakby spał. Próbowwała odsunąć ramię, którym go obejmowała. Osiągnęła tylko tyle, że przytulił ją mocniej.

- A dokąd to pani się wybiera? - spytał wesoło.

Marisa poczuła, że się rumieni. - Donikąd. Po prostu było niewygodnie. - Było jej trochę nieswojo. Nie wiedziała, o czym rozmawiać z tym praktycznie obcym człowiekiem.

- Nic nie mów, kochanie - Ted znowu odgadł jej myśli. - Możesz spokojnie zasnąć. Wrócę do mojego pokoju, zanim się rozwidni. Zachowam dyskrecję, bo nie chciałbym zaszkodzić twej opinii.

Marisa stwierdziła ku swemu zaskoczeniu, że wcale jej nie zależy na opinii. Chciała tylko leżeć u boku Teda i o niczym nie myśleć. Na myślenie będzie dość czasu potem. Zasnęła.

Ted natomiast nie spał. Leżał z szeroko otwartymi oczami wpatrując się w ciemność. Musiał sobie wszystko poukładać. Ten oszałamiający seks z Marisą przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Dawno już nie czuł się tak cudownie odprężony.

Następnego ranka Marisa obudziła się świeższa i wypoczęta. Nareszcie dobrze spała. Stwierdziła z ulgą, że w łóżku nie było nikogo oprócz niej. To dobrze, nie mogłaby chyba spojrzeć Tedowi w oczy.

Poszła do łazienki wziąć prysznic. - Ach, ty idiotko, skarciła się w duchu. W co ty się wpakowałaś?! Chyba na głowę upadłaś, żeby iść do łóżka z facetem, którego nie kochasz.

A może kocham? - zastanowiła się. - Hmmm, to ciekawe. Czy tak wygląda miłość?

Owinęła się ręcznikiem i wróciła do sypialni. Usiadła przygnębiona na łóżku. Nie, to niemożliwe. Nie mogła się przecież w nim zakochać, nie mogąc liczyć na jego wzajemność. Nie kochał jej, czasami myślała, że nawet jej nie lubił.

Wstała niechętnie i ubierała się. Miała nadzieję, że Ted będzie miał na tyle przyzwoitości, że będzie się od niej trzymał z daleka. Takie jednorazowe przygody były pewnie dla niego chlebem powszednim.

Weszła do jadalni ze ściśniętym gardłem. Ted siedział już na swoim miejscu. Przywitał ją ciepłym serdecznym uśmiechem i wskazał wolne krzesło obok.

Marisa rozejrzała się po jadalni. Wszystkie stoliki były zajęte, nie miała więc wyboru, musiała usiąść z Tedem. W ostatniej chwili uratowała się wymówką, że ma coś do zrobienia w kuchni.

Zjadła szybko śniadanie w kuchni i wymknęła się przez tylne drzwi na zewnątrz.

Wiedziała, że Ted chce z nią porozmawiać i postanowiła mu to uniemożliwić. Długi spacer dobrze jej robi, a poza tym zajrzy przy okazji do sklepu Jonathana.

Przez następne dwa dni unikała Teda. Nie chciała konfrontacji. Usiłowała zbagatelizować to, co między nimi zaszło. No cóż, była w końcu dorosła, a dorośli mają swoje potrzeby, także fizyczne. To wszystko.

Ted był wściekły. Od dwóch dni Marisa schodziła mu z drogi. Zawsze miała coś do załatwienia, albo była w towarzystwie innych ludzi i nie mógł z nią porozmawiać. Nie chodziła nawet do atelier, pewnie ze strachu, że ją tam wreszcie przydybie.

Trzeciego dnia zastał ją samą w kuchni. Podszedł do niej po cichu od tyłu, złapał za ramiona i odwrócił do siebie.

- Dlaczego mnie unikasz? Przecież i tak bym cię prędzej, czy później znalazł i zmusił do rozmowy.

- Wcale cię nie unikałam. Miałam po prostu bardzo dużo pracy - skłamała.

- Akurat ci uwierzę! - krzyknął ze złością, schwycił ją za nadgarstek i pociągnął za sobą. - Idziemy do pubu. - Po drodze ściągnął z wieszaka jej kurtkę i narzucił na nią, żeby nie zmarzła w zimnym wieczornym powietrzu.

Dotarli do pubu nie mówiąc do siebie ani słowa. Ted zamówił sherry dla Marisy i piwo dla siebie.

- Dlaczego mnie unikałaś? - powtórzył pytanie.

- Wcale cię nie unikałam. - Marisa obstawała przy swoim. - Wiesz przecież, że w hotelu jest mnóstwo pracy.

- Bzdura! - zawołał zirytowany. - Musimy porozmawiać!

- Nie sądzę, żebyśmy mieli wspólny temat - zauważyła chłodno.

- A ja sądzę! Nie możesz się zachowywać tak, jakby między nami nic nie zaszło. Nie możesz udawać, że nie spaliśmy ze sobą!

Marisa rozejrzała się przerażona, ale nikt z gości nie usłyszał słów Teda.

- Zdarzyło nam się coś cudownego - ciągnął dalej - i ty dobrze o tym wiesz. Nie mam pojęcia, dlaczego ze mną walczysz, ale myślę, że mi to powiesz. Seks to za mało na określenie tego, co przeżyliśmy. Poza tym odniosłem wrażenie, że jesteś mną poważnie zainteresowana.

- Cóż ty sobie, u diabła wyobrażasz? - rozgniewała się Marisa. Myślisz, że świat kręci się tylko wokół twojej osoby? Bardzo jesteś w sobie zadufany! - Marisa wstała, żeby jak najszybciej wyjść z pubu, ale Ted był szybszy. Schwycił ją obiema rękami w pasie i siłą zmusił, żeby z powrotem usiadła.

- Pozwól mi wyjść - syknęła wściekła.

- Nie - odparł krótko. Było mu dokładnie obojętne, że głowy gości odwróciły się w ich stronę.

- Masz tu siedzieć i być cicho! - polecił Marisie. - Jeszcze nie skończyłem. - Wypił jednym haustem połowę kufła. - Opowiedz mi o nim - rozkazał.

- O kim? - spytała Marisa zaskoczona.

- Nie udawaj, że nie wiesz o kim mówię! Masz mi opowiedzieć o tym mężczyźnie, który cię tak bardzo skrzywdził, że nie chcesz się wiązać z żadnym innym.

Marisa zbladła. Oddychała ciężko.

- To nie twoja sprawa - powiedziała po chwili.

- Owszem, moja, bo wszystko, co dotyczy ciebie, dotyczy także i mnie. Powiedz mi, co się stało, a ja postaram się pomóc ci. Wspólnie poradzimy sobie z tym problemem.

- Nie wiem, o czym mówisz i wcale nie zamierzam robić z tobą wspólnie czegokolwiek. Przespaliśmy się ze sobą, zgoda, ale jakie to ma znaczenie?

- Posłuchaj, znam cię na tyle, żeby wiedzieć, że nie idziesz do łóżka z pierwszym lepszym, który ci się akurat nawinie. Jestem przekonany, że ta noc nie była dla ciebie zwykłą przygodą.

Marisa nie mogła już tego wytrzymać. Zerwała się od stołu i wybiegła.

Ted pognał za nią.

- Jeszcze nie masz dosyć dręczenia mnie? - zawołała rozżalona.

- Nie mam dosyć ciebie, Mariso! - Złapał ją na rękę i zakreślił wokół. - Przepraszam, że tak na ciebie napadłem. Nie wykazałem się specjalnie opanowaniem, ale to twoja wina. Szaleję za tobą. I... wydawało mi się, że ty też mnie troszkę polubiłaś.

Marisa nie wierzyła własnym uszom. A więc Ted nie chciał od niej tylko seksu. Spojrzała na niego uważnie. Nie była pewna, czy mówi serio.

Patrzył na nią z niewysłowioną czułością.

- Chcę, żebyśmy się bliżej poznali. Daj nam szansę, Mariso. Postawił ją na ziemię i przytulił do siebie.

Nie czuła chłodu listopadowej nocy. Myślała intensywnie nad tym, co powiedział.

Sprawiał wrażenie uczciwego człowieka, ale o Nicku mogła to samo powiedzieć. Nie wiedziała, czy może jeszcze raz zaryzykować.

- Zgoda? - odsunął Marisę od siebie, żeby jej zajrzeć w oczy.

- Okay - odparła z wahaniem - ale... nie powinniśmy się tak spieszyć... chodzi mi o... sprawy fizyczne - dokończyła z nagłą odwagą.

- Aha - roześmiał się Ted - chcesz mi chyba dać do zrozumienia, że nici z łóżka. Nie mogę powiedzieć, że bym był zachwycony, ale cóż, rozumiem. Musimy się lepiej

poznać, chociaż ja i tak wiem, że pasujemy do siebie. Wiesz co? Od jutra zaczniemy spędzać razem wszystkie popołudnia. Pojedziemy po obiedzie do Kattering do kina.

Poszli do hotelu. Marisa była tak zajęta swymi myślami, że chętnie milczała.

- Zobaczę, czy wszystko już jest przygotowane do śniadania - powiedziała w holu i poszła do kuchni. Zastała tam Emmę, która robiła sobie herbatę.

- Udał ci się wieczór? - spytała Marisa. Ciotka miała się spotkać z Peterem Bealem. Ostatnio spotykali się coraz częściej.

- Było cudownie. Peter zna wszystkie lokale w okolicy. Jest zresztą smakoszem. Zazdroszczę mu. Gdybym jadła tyle, co on, byłabym gruba jak beczka. On niczego sobie nie odmawia. Chcesz herbaty? - i nie czekając na odpowiedź naląła siostrzenicy filiżankę aromatycznego płynu.

- Czy to coś poważnego z tym adwokatem, ciociu? Bardzo często się widujecie. Emma udawała, że nie słyszy.

- Ciociu! - ponagliła ją Marisa.

- Co, kochanie?

- Wiesz dobrze, o co pytałam. Czy to jakaś poważna sprawa z Bealem? - Marisa nie zamierzała ustąpić.

- Nie bardzo wiem, co masz na myśli mówiąc „poważna sprawa”. Mogę cię zapewnić, że żywimy do siebie najgłębszy szacunek. Chętnie przebywamy w swoim towarzystwie. I... nie martwimy się przyszłością.

Emma uśmiechnęła się do siostrzenicy.

- A co z tobą i Tedem? Ustaliliście datę ślubu?

Marisa wbiła wzrok w podłogę.

- Nie, jeszcze nie. Późno już. Pójdę do siebie.

- Wypij chociaż herbatę. Nie musisz się zrywać tak wcześnie. Mamy przecież nową dziewczynę do pomocy. Dzięki wspaniałemu gestowi Teda możemy się teraz wysypiać do woli.

ROZDZIAŁ 8

Marisa odłożyła pędzel i odsunęła się o dwa kroki. Ze zmarszczonym czołem oceniała wyniki swojej pracy. Włożyła w ten obraz wiele miłości, ale nie była pewna, czy jej się podoba.

To miał być gwiazdkowy prezent dla Teda.

Ted! Już sam dźwięk tego imienia sprawiał, że przeszywał ją dreszcz. Podeszła do stołu stojącego pośrodku atelier. Wypiła łyk kawy. Napój był już zimny, ale wcale jej to nie przeszkadzało. Zapatrzyła się gdzieś przez okno przebiegając w myślach ostatni miesiąc.

Dawno nie czuła się tak szczęśliwa. Spędzała z Tedem każdą wolną chwilę. Poznali się już lepiej w trakcie długich spacerów, podczas wypadów do kina, w czasie uroczystych kolacji przy świecach. Dotrzymał słowa. Nie próbował przespać się z nią. Była mu za to wdzięczna, a jednocześnie odczuwała rozczarowanie, że tak łatwo z tego zrezygnował.

Nie zrezygnował jednak do końca. Całował ją jeszcze częściej i zawsze widziała wtedy palące pożądanie w jego oczach. Od owej pamiętnej nocy ograniczył pieszczoty tylko do pocałunków i przytulania.

Rozległo się pukanie do drzwi. Marisa szybko zasłoniła sztalugi i zawołała:

- Proszę!

Nie chciała, żeby ktoś przedwcześnie zobaczył jej dzieło. To miała być niespodzianka.

Do atelier weszła Emma.

- Nie przeszkadzam? - spytała uprzejmie. - Chciałam ci powiedzieć, żebyś nie czekała na mnie z kolacją. Umówiłam się z Peterem.

- Znowu? - Marisa podeszła do umywalki wypłukać pędzel. Kiedy się odwróciła, zauważyła, że ciocia ma wypieki na policzkach.

Wytarła ręce w spodnie.

- Widzę, że to naprawdę poważna sprawa z tobą i Peterem. Kiedyś cię już o to pytałam, ale zbyłaś mnie. Macie się ku sobie, ciociu?

- Tak - Emma zdobyła się wreszcie na szczerść. - Rozumiemy się tak, jakbyśmy się znali od lat. Och Mariso, nie myślałam, że zdarzy mi się jeszcze coś takiego.

- Na miłość nigdy nie jest za późno - powiedziała Marisa sentencjonalnie. - Rozumiem twój stan, bo sama jestem chyba w podobnym. Ten spadek po wuju

Desmondzie był prawdziwym darem niebios. Zobacz, ile zmian na lepsze nastąpiło w naszym życiu.

Uścisnęła ciotkę serdecznie.

- Ciociu - zawahała się Marisa - muszę ci coś wyznać. Dotyczy to naszych zaręczyn... - urwała. Może Ted będzie na nią zły, ale nie mogła już dłużej oszukiwać ciotki.

Emma spojrzała na siostrzenicę z rozbawieniem. Objęła ją ramieniem i pogładziła po głowie tak, jak się gładzi małe dzieci.

- Pewnie chcesz mi powiedzieć, że wcale nie jesteście zaręczeni, co? Wiem o tym od dawna, dziecinko.

Marisa spojrzała na nią zdziwiona.

- Zapominasz, że wychowywałam cię przez ostatnie dziesięć lat. Wiedziałam od początku, że mnie oszukujesz. Wiedziałam również, dlaczego.

- Jesteś na mnie zła?

- Ależ nie. To nawet zabawne, że zdecydowałam się powiedzieć mi o tym teraz, gdy faktycznie coś się między wami zaczęło.

Marisa westchnęła. - Nie wiem, jak się między nami ułoży. Na razie wydaje mi się, że Tedowi na mnie zależy, chociaż ci mężczyźni...

- Według mnie znalazłaś już właściwego partnera. A spójrz na mnie. Po tylu latach trafiłam na tak cudownego człowieka, jakim jest Peter. Cieszę się, każdą chwilą spędzoną z nim. I wam się też wszystko pomyślnie ułoży. Ted jest chodzącą dobrocią i kocha cię ogromnie. Przecież to widać gołym okiem.

Emma spojrzała na zegarek i stwierdziła, że musi już iść. Nie chciała się spóźnić na spotkanie z Peterem.

- Poradzisz sobie beze mnie, prawda, Mariso? Nie musisz się już przejmować kolacją - dzięki Tedowi.

Przesłała Marisie pocałunek dłonią i wyszła pośpiesznie.

Marisa westchnęła i zabrała się do czyszczenia pozostałych utensyliów. Tęskniła za Tedem. Wyjechał do Londynu, żeby zebrać jeszcze dodatkowe materiały do książki. Marisie trudno było wytrzymać tę przymusową rozłąkę.

Zgasła światło w atelier i weszła do jadalni. Nie mogła się już doczekać powrotu Teda. Porozmawia z nim zaraz, jak wróci. Powie mu, że jej zdaniem, już się dostatecznie poznali. Ted na pewno zrozumie o co jej chodzi.

Następnego ranka Marisa obudziła się w bardzo pogodnym nastroju, którego nie mógł zepsuć deszcz lejący strumieniami za oknem. Ted będzie z nią już dziś wieczorem! Chciało jej się śpiewać z radości.

Przejrzała się w lustrze. Miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy. Nawet nieźle wyglądam, stwierdziła z zadowoleniem.

Dziś wieczorem okaże się, czy czar jeszcze działa.

Na schodach zderzyła się niemal z Angellą, nową pracownicą.

- Przepraszam panią - powiedziała Angela uprzejmie. - Tak się spieszyłam, żeby zrobić drugie piętro... Dzisiaj przyjeżdżają nowi goście.

- To ja się zagapiłam - mruknęła Marisa mijając obładowaną bielizną dziewczynę.

Czas ciągnął się w nieskończoność. Im częściej spoglądała na zegarek, tym wolniej przesuwały się jego wskazówki. Zniechęcona odłożyła pędzel. W takim stanie nie mogła pracować. Poszuka Emmy, może znajdzie dla niej jakieś zajęcie. Czekanie na Teda rozstroiło ją nerwowo. Całe szczęście, że niedługo go zobaczy.

Ted zatrąbił na niebieskiego opla, który wkręcił się przed nim w kolejkę samochodów. Korek był potężny. Cholera jasna, zaklął półgłosem. Jak tak dalej pójdzie dotrze do hotelu o północy. Tęsknił za Marisą niewypowiedzianie, a tu taki pech.

Korek rozładował się wreszcie i Ted skręcił w boczną drogę do hotelu. W holu świeciło się jeszcze światło. Zatrzymał samochód przed wejściem i ujrzał Marisę.

Rzuciła mu się w ramiona. Musiała wspiąć się na czubki palców, żeby dosięgnąć wargami jego ust. Zaskoczył go ten pocałunek i jednocześnie ucieszył. Przyciągnął ją do siebie i odwzajemnił jej pocałunek.

Marisa jęknęła cichutko. Tak długo tęskniła za tą chwilą. Wbiła wzrok w ziemię, bo rzeczywistość przerosła jej wyobrażenia. Nie spodziewała się, że powitanie wypadnie tak burzliwie.

- Jakie serdeczne przyjęcie! - uśmiechnął się Ted, pochylił się nad Marisą i szepnął jej do ucha coś, czego nie zrozumiała. - Bardzo za tobą tęskniłem, maleńka. Jak ci było beze mnie? Miałaś dużo pracy?

- Ja też za tobą tęskniłam, Ted - szepnęła szczęśliwa, że już jest z nią.

Weszli do hotelowego pokoju. Ted odstawił walizkę i znowu zamknął Marisę w uścisku swych ramion. Znowu ją pocałował, nie kryjąc swego pożądania. Marisa wyrwała mu się szybko. Nie chciała, żeby ktoś ich tak zastał.

- Ted, jeszcze ktoś nas zobaczy. Nie wypada.

Musiał przyznać jej słuszność. Nie wypadało, żeby właściciele hotelu obściskiwali się publicznie.

- To pojedziemy gdzieś na kolację. Jestem okropnie głodny. Chciałbym porozmawiać z tobą na osobności, a nie na oczach wszystkich.

Godzinę później siedzieli w niszy doskonałej restauracji hinduskiej i pili wino zamówione przez Teda. Najpierw długo milczeli patrząc sobie w oczy. Nie mogli się nacieszyć swym widokiem.

- Jak twoja praca? - Marisa pierwsza przerwała ciszę.

- Nie najgorzej - odparł Ted z uśmiechem. - Książka jest już na ukończeniu. Będę musiał tylko jeszcze raz pojechać do Londynu sprawdzić kilka informacji. Rozumiesz chyba, że muszę być wiarygodny. Potem spiszę ostatnie rozdziały i prześlę je Susan. Pisanie książki zajęło mi więcej czasu, niż się spodziewałem.

Marisa nic na to nie powiedziała, uświadomiła sobie bowiem, że ich umowa wygaśnie wraz z ukończeniem książki. Zgoda, wyszli daleko poza jej ramy, ale nigdy nie rozmawiali o przyszłości. Ted wspomniał tylko kiedyś, że wyprowadzi się z hotelu, gdy skończy książkę. Zacisnęła palce na kieliszku z winem.

- O czym myślisz, Mariso? - Ted oczywiście zauważył zmianę w jej nastroju. Wyglądasz, jakbyś była myślami daleko stąd.

Marisa drgnęła. - Myślałam tylko o tym, jak bardzo musisz być zmęczony. Miałeś na pewno ciężki dzień.

- To prawda, ale wieczór wynagrodził mi jego trud.

Ted rozejrzał się za kelnerem, żeby zamówić kawę i w tym momencie spostrzegł doktora Edmonda Wrighta, wielbiciela Marisy, który zmierzał do ich stolika.

- Dobry wieczór państwu - usłyszeli za chwilę jego głos.

- Dobry wieczór, Edmondzie - odparła Marisa uprzejmie. Ted tylko skinął głową. Edmond usiadł przy ich stoliku, mimo że nikt go do tego nie zachęcił. Kelner przyniósł dwie kawy. Spytał Edmonda, czy on też sobie życzy.

- Chętnie się napiję. Dziękuję.

Marisa pochyliła się do przodu, żeby podać Tedowi dzbanuszek ze śmietanką. Ten ruch spowodował, że jej dekolt pogłębił się.

Oczy Edmonda zaokrągliły się. Patrzył na jej piersi, jak kot na szperkę. Ted zacisnął pięści.

Marisa ubrała się na ten wieczór w prześliczną sukienkę koloru czerwonego wina, która miała dosyć odważny dekolt i opinała jej ciało jak druga skóra. Wyglądała w niej cudownie, ale Tedowi nie podobało się, że inni mężczyźni też to zauważyli.

Marisa i doktor rozmawiali przez chwilę o pogodzie. Edmond nie spuszczał wzroku z dekoltu swej rozmówczynie. Zreflektował się dopiero pod wpływem ostrzegającego spojrzenia Teda.

Nagle zaczęło mu się spieszyć. Dopił szybko kawę i wstał.

- Muszę się już pożegnać. Wczesnie otwieram praktykę i muszę się wyspać.
Dobranoc państwu.

- Hmmm, to zabawne - zauważyła Marisa, gdy była już pewna, że doktor jej nie usłyszy. - Siedział, siedział, aż tu nagle zaczęło mu się spieszyć. Co mu się stało?

Spojrzała na Teda.

- Nie byłeś zbyt uprzejmy dla niego. Nie lubisz go?

- Masz chyba zdolność jasnowidzenia - burknął Ted, rzucił pieniądze na stół i wstał. Marisie nie pozostawało nic innego, jak pójść w jego ślady.

- Dlaczego go nie lubisz? - spytała raz jeszcze w samochodzie.

Pokręciła głową wyrażając dezaprobatę dla jego zachowania wobec doktora.

- Odpowiesz mi wreszcie? Czy ja mówię do słupa? - zdenerwowała się.

- Dlaczego nie lubię naszego kochanego doktora? Powiem ci. Nie lubię, jak ci nadskakuje, jak się oblizuje na twój widok. Przy stoliku o mało cię nie zjadł wzrokiem. Obleśny typ! Cały czas wgapiał się na twój dekolt.

- Nie wiem o czym mówisz - odezwała się Marisa po chwili. Nie chciała pokłócić się z Tedem. - Nie widziałam w jego zachowaniu niczego niestosownego.

- Aha, nie widziałaś?! To chyba jesteś ślepa! Nie spuszczał wzroku z twoich piersi. A ty go jeszcze do tego zachęcałaś.

- Co takiego? - oburzyła się Marisa. - Ty masz chyba nie po kolei w głowie. Byłam uprzejma dla Edmonda, ale tylko dlatego, że ty się tak grubiańsko wobec niego zachowywałaś.

Byli tak na siebie wściekli, że nie odezwali się już ani słowem. Gdy zatrzymali się przed hotelem, Ted pomógł wysiąść Marisie, ale wszystko odbyło się w milczeniu. Odprowadził ją na górę.

- Dobranoc, dziękuję - mruknęła na pożegnanie otwierając drzwi do swego pokoju.

Ted wszedł za nią. Odwróciła się zaskoczona.

- Co to ma znaczyć? - spytał gniewnie.

Oparł się plecami o drzwi i patrzył na nią z ukosa. Cofnęła się.

- Chodź tu - poprosił łagodnie.

Marisa cofała się dalej. Tak, chciała się z nim kochać tej nocy, ale przecież nie w takiej atmosferze. Wyprostowała się dumnie.

- Nie, wolałabym, żebyś już poszedł do siebie. Jest już późno. Wynikła między nami różnica zdań i najlepiej będzie, jeśli się pożegnamy. Na rozmowę będzie czas jutro.

Ted roześmiał się głośno.

- Ależ ja wcale nie miałem na myśli rozmowy. Mamy inną możliwość wyjaśnienia nieporozumienia.

Nie zdążyła odpowiedzieć, ponieważ już był przy niej i zamykał jej usta pocałunkiem. Ściągnął płaszcz z jej ramion i rzucił go na podłogę. Rozsuwał suwak jej sukni.

- Ted, to nie jest chyba najwłaściwsza droga - zaprotestowała po chwili.

- Nie masz racji, kochanie - odparł całując ją w szyję, w jej najbardziej czułe miejsce. - Pragnę cię tak samo, jak ty mnie. Przestań już walczyć. Poddaj się uczuciom. Zdjął z niej sukienkę. Stała teraz przed nim prawie naga.

- Przynajmniej mam pewność, że nikt cię teraz nie ogląda oprócz mnie - szepnęła.

Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka. Włączył małą lampkę na nocnym stoliku, rozebrał się błyskawicznie i położył się obok Marisy.

Przywarli do siebie natychmiast z taką mocą, jakby ktoś chciał ich rozdzielić. Marisie zakręciło się w głowie. Pożądanie ogarnęło ją gorącą falą. Drżała z podniecenia. Pieszczoty Teda dostarczały jej tyłu niezwykłych doznań. W jednej chwili zapomniała o niedawnej sprzeczce, w ogóle przestała myśleć. Emocje wzięły górę.

Pogładziła Teda po plecach.

- Nie - odsunął jej rękę - nie rób tego, bo zaraz będzie po wszystkim, a chodzi przecież o to, żeby przyjemność trwała jak najdłużej.

Dotknął wargami jej piersi. Zaczął je pieścić w tak cudowny sposób, że Marisa o mało nie zemdląła z rozkoszy.

- Nie dręcz mnie już dłużej, Ted - jęknęła.

Ale Ted nie zamierzał uwzględniać tej prośby. Przesunął dłonie po jej płaskim, miękkim brzuchu, a potem pogładził ją niżej.

Marisa była już jednym wielkim pragnieniem.

Rozsunął delikatnie jej uda i wszedł w nią jednym silnym pchnięciem.

Tym razem kochali się szybko i gwałtownie, jakby chcieli sobie powetować miesiąc wstrzemięźliwości. Wspólnie osiągnęli szczyt rozkoszy.

Długo leżeli ciasno objęci bez ruchu. Marisa uspokajała się stopniowo. Powieki zaczęły się już kleić, była śpiąca.

- Nie śpij jeszcze, Mariso - poprosił Ted. - Musimy omówić kilka spraw.

- Akurat teraz? - skrzywiła się. - Strasznie mi się chce spać, a twoje ramię jest całkiem wygodną poduszką. Może jutro?

- Wyjeżdżam wczesnym rankiem. Przyjechałem tylko po to, żeby się z tobą zobaczyć. Zresztą, niech będzie. Pogadamy, gdy wrócę. Nie mam serca cię budzić. I nie denerwuj się, gdy mnie jutro nie będzie. Mam spotkanie w wydawnictwie już o jedenastej.

Za chwilę usłyszał regularny oddech Marisy. Zasnęła już. Ted natomiast był daleki od snu.

Wiedział, że musi odbyć z Marisą tę rozmowę. Musiał się upewnić, czy kocha go tak bardzo, jak on ją. Po to przyjechał z Londynu. Ale ta niepotrzebna sprzeczka, z jego winy zresztą, a później naga Marisa, nie sprzyjały rozmowie. Gdy tylko wziął ją w ramiona, zapomniał o wszystkim. Chciał tylko jednego, kochać się z nią do utraty przytomności, do upadłego.

Marisa obudziła się wypoczęta i w pogodnym nastroju. Przeciągnęła się i stwierdziła z żalem, że miejsce obok jest puste.

Ted już wyjechał, pomyślała smutno.

Było jeszcze dość wcześnie. Za oknem dopiero szarzał świt. Dobra gorąca kawa pomogłaby jej zebrać myśli. Musiała zastanowić się nad swoją sytuacją.

Ted niebawem ukończy książkę i zostawi ją. Dlaczego miałyby postąpić inaczej? Nie mógł przecież wiedzieć, jak bardzo go kocha. Nigdy mu tego nie powiedziała.

Niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość, nie żałowała niczego. Przeżyła z Tedem wspaniałe chwile. Naprawdę było warto.

Usłyszała odgłos kroków na korytarzu. Zmusiła się, żeby wstać z ciepłego łóżka i ubrać się.

ROZDZIAŁ 9

- Peter poprosił mnie, bym została jego żoną - obwieściła Emma z dumą.

Marisa rzuciła się uściskać ciotkę. - Nie masz pojęcia, jak się cieszę, ciociu! To cudownie! Kiedy nadejdzie ten wielki dzień?

Emma uśmiechnęła się radośnie do siostrzenicy. - Wiesz co, powinnyśmy to uczcić.

Poszły do baru, Emma wyciągnęła butelkę szampana przedniej marki, którą chowała na specjalną okazję. Właśnie się taka trafiła. Rozlała perlisty napój do dwóch wysokich kieliszków.

- Opowiedz mi wszystko, ciociu - poprosiła Marisa.

- Wczoraj po kolacji Peter zaproponował mi małżeństwo - zaczęła przejęta Emma. - Zgodziłam się i od razu zaczęliśmy snuć plany na przyszłość.

- Jakie plany?

- Dotyczące ślubu przede wszystkim, a poza tym, gdzie zamieszkamy i co będziemy robić. Omówiliśmy nawet urlop. Chcemy się pobrać jak najszybciej. Prawdę mówiąc nastąpi to już z końcem tygodnia. Po ślubie pojedziemy do Wenecji w podróż poślubną. Po powrocie przeprowadzę się do Petera. Chciałabym cię prosić, żebyś była świadkiem na moim ślubie z Peterem. On zdecydował się poprosić swego brata. Weźmiemy ślub w ratuszu, a potem wyprawimy w hotelu małe przyjęcie dla najbliższych.

- Jakie szybkie tempo! Czy na pewno wiesz, co robisz, ciociu?

- O, tak! Spieszmy nam się ze ślubem, bo już zbyt długo czekaliśmy oboje na ten dzień. Teraz trzeba się będzie zająć przygotowaniem do tego wydarzenia.

Omówiły je pokrótce. Marisa nie zgodziła się na to, żeby ciotka nadal pracowała w tym tygodniu w hotelu.

- Nie wiedziałabym, co ze sobą zrobić, dziecko - sprzeciwiła się Emma. - Będę tak zdenerwowana, że wolałabym się jednak czymś zająć. A moje roślinki? Przecież ich tak nie zostawię.

W natłoku pracy Marisa nie miała czasu analizować swojego związku z Tedem, ani nawet tęsknić za nim. Dzień ślubu ciotki zbliżał się z zastraszającą szybkością.

Ted dzwonił codziennie i Marisa zakomunikowała mu radosną nowinę. Obiecał, że na pewno weźmie udział w uroczystości.

- Pogratuluj Emmie i Peterowi ode mnie - poprosił. - Tak bardzo mi ciebie brakuje, kochanie.

Powtarzał te słowa za każdym razem. Marisa cieszyła się z tego, a jednocześnie zastanawiała się, czemu brzmią one tak monotannie.

Dzień ślubu Emmy był zimny, ale pogodny. Pomagając ciotce ubrać się w morelowy kostiumik, Marisa zastanawiała się, czy ona też kiedyś wyjdzie za mąż. Ted nie wspomniał ani słowem o przyszłości tak, jakby ten temat w ogóle dla niego nie istniał. Marisa nie miała więc odwagi wyobrazić sobie siebie jako panny młodej.

W barze hotelowym i w salonie było pełno gości. Peter zaliczał się do najbardziej szanowanych członków gminy i miał dużo przyjaciół. Marisa poszukała wzrokiem Teda. Nigdzie nie mogła go dostrzec.

Nagle ktoś schwycił ją za ramiona i odwrócił do siebie.

Nie zważając za zaciekawione spojrzenia innych ludzi Ted wziął ją w ramiona i pocałował w usta. Czerwona z zakłopotania usiłowała mu się wyrwać, ale Ted trzymał ją mocno.

- Puść mnie, Ted - szepnęła. - To nie wypada. Wszyscy na nas patrzą.

W odpowiedzi Ted pocałował ją jeszcze raz.

- Cudownie wyglądasz - stwierdził po chwili, puszczając ją wreszcie.

- Ty też, Ted - uśmiechnęła się. - Jak było w Londynie? Kiedy skończysz książkę? - Marisa złękła się, że być może słychać w jej głosie ton rozpaczy.

Przez ostatni tydzień, spędzony na przygotowaniach do ślubu ciotki, nie miała czasu myśleć o przyszłości. Teraz przyjęcie weselne dobiegało już końca i za kilka godzin nowożeńcy znajdą się w samolocie do Wenecji.

Ted wyciągnął Marisę z tłumu gości i zaprowadził ją w bardziej ustronne miejsce.

- Książkę już niemal skończyłem, ale... - zawiesił głos - wynikła konieczność wyjazdu do Kanady. - Niestety - dodał widząc smutne spojrzenie Marisy. - Nie chcę, ale muszę wyjechać do Ottawy na cztery tygodnie.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Dziś wieczorem - powiedział szybko. - Jeden z wiodących ekologów z Kanady zgodził się udzielić mi wywiadu. To będzie dobry materiał na podsumowanie książki. Wydawca uparł się, żebym koniecznie tam pojechał.

Uniósł podbródek Marisy do góry i zmusił ją, żeby spojrzała mu w oczy.

- Wierz mi, że wolałbym zostać tu z tobą. Każda rozłąka z tobą jest dla mnie bolesnym przeżyciem. Obiecuj, że będziesz na mnie czekała.

Marisa skinęła głową. Naturalnie, że będzie na niego czekała. Przecież go kocha.

Czas płynął teraz zbyt szybko. Obrzucili odjeżdżających nowożeńców ryżem i zostali sami, ale nie na długo. Ted musiał już się szykować do podróży. Obiecał Marisie, że zadzwoni do niej natychmiast po przyjeździe do Kanady, pocałował ją na pożegnanie i już go nie było.

Marisa poczuła się nagle bardzo samotna. Opuściły ją dwie najbliższe osoby - ciocia i Ted. Zgasła światła na dole i poszła do saloniku na trzecim piętrze.

Włączyła telewizor, nie wiadomo właściwie po co, bo i tak nie mogła się skoncentrować na programie.

Wzrok jej powędrował w stronę kalendarza wiszącego na ścianie. Emma kupiła go za pół ceny w księgarni w Long Beach i była bardzo dumna z tej zdobyczy. Marisa nie miała serca wyjaśnić jej, czemu ten kalendarz był tak tani. Po prostu nikt już nie chciał wieszać kalendarzy ze zdjęciami roślin w domu. Wszędzie królowały skapo odziane piękności.

Zrezygnowała z oglądania telewizji. Spojrzała jeszcze raz na kalendarz, zgasła telewizor, światło i wyszła.

Nagle ogarnęło ją jakieś dziwne uczucie, jakby o czymś zapomniała. O czymś ważnym. Nie mogła sobie uprzytomnić, co by to mogło być. Potrząsnęła głową. Nie, to na pewno nic ważnego.

Dwa tygodnie później Emma i Peter wrócili z podróży poślubnej. Emma promieniała ze szczęścia.

- Masz tu gościniec z Wenecji - podała siostrzenicy piękne alabastrowe puzderko. - Będiesz miała gdzie schować zaręczynowy pierścionek i inne, które pewnie dostaniesz od Teda.

- Och, dziękuję, ciociu! Jakie to śliczne! - ucieszyła się Marisa.

W głębi duszy nie była wcale pewna, czy kiedykolwiek zostanie obdarowana przez Teda pierścionkiem. Symbolika tego gestu wiązała się przecież z decyzją o wspólnym spędzeniu życia. Prosił wprawdzie, żeby na niego czekała, ale temat małżeństwa nie pojawił się w żadnej ich rozmowie.

- Jak ci się podobała Wenecja, ciociu? - spytała Emmę.

- Och, to cudowne miasto! Nie przesadzę chyba, jeśli nazwę je najpiękniejszym miastem świata. Te gondole, te pałace, te mosty przerzucone ponad kanałami! Obiecaliśmy sobie z Peterem, że wrócimy tam w lecie na dłużej, a przy okazji zwiedzimy sobie całą słoneczną Italię. Wiesz, nie mogę jakoś przywyknąć do mglistego angielskiego klimatu. W Kalifornii było przecież zawsze ciepło.

- Nie żałuj kalifornijskich czasów - powiedziała Marisa. - Tu, w Anglii, znalazłyśmy prawdziwy dom.

- I prawdziwych mężczyzn - dokończyła Emma z uśmiechem.

Tego popołudnia Marisa zaniósła do sklepu Jonathana kolejny obraz. Była zadowolona, że może choć trochę wyrwać się z hotelu. W czasie nieobecności ciotki miała ręce pełne roboty i nie mogła sobie pozwolić na choćby małą przechadzkę.

Jonathan zachwycił się obrazem. Zapewnił Marisę, że nie będzie żadnych trudności z jego sprzedażą. Dwa ostatnie obrazy zostały już sprzedane, może za niezbyt wygórowaną cenę, ale to i tak ucieszyło Marisę.

W czasie drogi powrotnej ogarnęło ją znowu uczucie, jakby o czymś zapomniała. Ale o czym, na litość boską?!

Zwolniła kroku myśląc intensywnie, co by to mogło być i nagle doznała olśnienia.

Poraziło ją to do tego stopnia, że musiała stanąć. Serce jej bilo gwałtownie, w żołądku czuła niemiły uścisk. Nie! Tylko nie to! Fakty były jednak bezlitosne. W listopadzie nie miała miesiączki, teraz mijał już drugi tydzień i nic nie zapowiadało zbliżającej się menstruacji.

Poszła dalej usiłując zbagatelizować problem, który ją przerastał. W końcu każdej kobiecie zdarzały się nieregularne cykle od czasu do czasu, zwłaszcza, gdy była w stresie.

Była już na schodach do hotelu, gdy rozmyśliła się i poszła do lasu za hotelem, gdzie dokonała transakcji z Tedem.

Usiadła na tym samym pniu i ukryła twarz w dłoniach. Może niepotrzebnie się zdenerwowała? Przecież Ted zapewnił ją, że nie musi się obawiać.

Niemniej jednak Marisa obwiniała się za lekkomyślność. Dwa razy spała z Tedem, ale ani razu nie zastosowała środka antykoncepcyjnego.

Siedziała w lesie aż do zmierzchu. Do hotelu poszła dopiero wtedy, gdy przemarzła na kość. Od razu poszła do siebie i położyła się.

Godzinami wpatrywała się w sufit rozmyślając o tym, co się jej przytrafiło.

Zaufałam mu! Uwierzyłam w jego zapewnienia! O Boże, przecież nie mógł mnie oszukać!

Przez kilka kolejnych dni Marisa żyła jak w transie. Spełniała automatycznie swoje obowiązki, próbowała się normalnie zachowywać i malowała do upadłego.

W końcu nie wytrzymała napięcia nerwowego. Na dzień przed powrotem Teda z Kanady pojechała samochodem do Kettering i wstąpiła do drogerii. Przeszukała

metodycznie regały. Nie odważyła się poprosić sprzedawcy o pomoc. A nuż spojrzalby na nią ze współczuciem, albo co gorsza z litością? Wreszcie znalazła to, o co jej chodziło.

Pospiesznie wróciła do hotelu. Dopiero w swoim pokoju przeczytała sposób użycia testu ciążowego. Okazało się, że można go przeprowadzić dopiero rano. Musiała więc czekać całą noc, żeby mieć pewność, że się nie myli.

Oczywiście nie mogła zasnąć, a kiedy jej się to wreszcie udało, zaraz się obudziła. Czuwając doczekała świtu.

Przeczytała jeszcze raz dokładnie instrukcję i postąpiła według wskazówek w niej zawartych. Na wynik trzeba było trochę poczekać, założyła więc szlafrok i poszła na dół zrobić sobie herbaty.

Wypiła słaby napar z listków herbacianych i uświadomiła sobie, że już od jakiegoś czasu w ogóle nie ma ochoty na kawę, ba, nawet nie może znieść jej zapachu.

To też o czymś świadczyło. Organizm kobiety ciężarnej odrzuca używki. Odstawiła drżącymi palcami filiżankę i poszła na górę.

Mogła odczytać wynik. Wystarczył jeden rzut oka na pojemnik stojący na umywalce.

Była w ciąży, nie miała co do tego wątpliwości!

Przejrzała się zmartwiona w lustrze. Błada, z sińcami pod oczami wyglądała okropnie.

Z głośnym szlochem rzuciła się na łóżko. Płakała tak długo, aż zasnęła z wyczerpania.

Obudziło ją głośne pukanie do drzwi. Emma wołała ją po imieniu.

- Jesteś tam, Mariso? Już po jedenastej! Co się z tobą dzieje?

- Zaraz będę na dole, ciociu - zawołała Marisa przez drzwi. Nie mogła się jej pokazać w takim stanie. Od razu by się zorientowała, że coś jest nie w porządku.

- Okay - usłyszała głos ciotki. - Na pewno nic ci nie jest?

- Jestem chyba trochę przeziębiona. Wezmę prysznic i za kwadrans będę w kuchni.

Wstała i poszła do łazienki wziąć zimny prysznic, żeby jakoś dojść do siebie.

Wołała być teraz sama. Wiedziała już, co robi. Powie Emmie, że musi malować w plenerze, to naprawdę wiarygodna wymówka.

Nieco później wyszła z hotelu z utensyliami malarskimi pod pachą. Emma nie bardzo jej uwierzyła, znała ją jednak zbyt dobrze. Wzruszyła w końcu ramionami. Cóż, Marisa była przecież dorosła.

Marisa nie zwracała uwagi ani na promienie słońca, ani na miękkie białe obłoki płynące leniwie po błękitnym niebie. Szła bez celu przed siebie, zajęta swymi myślami.

Chyba go zabiję, myślała. Nie, najpierw dam mu czas na wyjaśnienie całej tej historii. Jak mógł jej zrobić coś takiego?! Tak ją prosił, żeby mu zaufała.

O Boże, czy ja już nigdy się nie nauczę wyciągać wniosków z błędów, które kiedyś popełniłam?

Ted okazał się mężczyzną tego pokroju, co Nick, nie, był jeszcze gorszy. Marisa cierpiała teraz znacznie bardziej, niż po rozstaniu z Nickiem. Ogarnęła ją potworna złość na mężczyznę, który w tak haniebny sposób nadużył jej zaufania.

Ale tym razem odpłacę mu pięknym za nadobne, postanowiła. Wygarnę mu wszystko. Powiem mu, co o nim myślę!

Po kilkugodzinnych rozmyślaniach Marisa postanowiła pojechać do Londynu i odszukać tam Teda. W tej chwili najważniejsza była rozmowa z nim. Nad przyszłością zastanowi się później.

Wróciła do hotelu. Emmy nie było. Pojechała do Kattering na zakupy, jak jej powiedziała Janice. Zostawiła jej kartkę, że wyjeżdża do Londynu i wybiegła w pośpiechu.

Miała nadzieję, że zdąży na najbliższy pociąg, który przyjedzie do Londynu wczesnym wieczorem.

Ted odstawił walizki w przedpokoju i przeciągnął się. Był bardzo zmęczony. Tęsknił wprawdzie bardzo za Marisą, ale nie był teraz w stanie pojechać do hotelu.

Rozejrzał się po swoim nieprzytulnym mieszkaniu. Wyraźnie brakowało tu kobiecej ręki. Wynajął je zaraz po ostatecznej rozmowie z Cynthią, która zdecydowała o ich rozstaniu. Było mu wtedy obojętne, gdzie będzie mieszkał. Teraz przygnębiły go nagie ściany i nieprzyjemna atmosfera tego mieszkania.

Poszedł do kuchni i wstawił czajnik z wodą na gaz. Może zadzwonić do Marisy? W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

Poszedł otworzyć i nie mógł uwierzyć własnym oczom widząc w drzwiach Susan Mallory.

- Witaj w domu, Ted - powitała go radośnie.

- Dzień dobry, Susan - powiedział chłodno. Gorączkowo zastanawiał się, jak się jej pozbyć. Nie miał sił ani ochoty na kolejną potyczkę ze swoją redaktorką.

- Nie zaprosisz mnie do środka? - spytała przymilnie. Widząc wahanie Teda dodała szybko: - Przyszłam tu służbowo. Mam ze sobą przerobioną wersję twojej książki i chciałabym, żebyś ją przejrzał.

Susan przecisnęła się o bok Teda, weszła do pokoju i usiadła na kanapie.

Zamknął drzwi zrezygnowany i poszedł za nią.

- Susan, przyjechałem przed chwilą z lotniska i jestem bardzo zmęczony. Czy ten maszynopis nie może poczekać? Zostaw go tu, a ja zadzwonię do ciebie pod koniec tygodnia, kiedy go już spokojnie przeczytam. Dziś nie mam siły na jakąkolwiek pracę umysłową.

Miał nadzieję, że Susan pożegna się i pójdzie sobie, aczkolwiek była to słaba nadzieja. Wiedział przecież, że jest uparta jak muł.

- Co ty mówisz, Ted? - spojrzała na niego z ukosa i roześmiała się niskim gardłowym głosem. - Nie mogłeś się przecież zmęczyć w samolocie. Co znaczy kilka godzin lotu dla takiego silnego mężczyzny, jak ty! Możemy zresztą razem odpoczywać... - zawiesiła głos znacząco.

Ted miał jej już dosyć.

- Słuchaj, Susan - odrzekł ostro - widzę, że ciągle masz na mnie chrapkę, ale nic z tego nie będzie! Zrozum wreszcie, że kocham inną kobietę. Niedługo się pobierzemy. Nie chcę kończyć naszej znajomości w drastyczny sposób. Jesteś w końcu moją redaktorką i bardzo cenię twoje profesjonalne umiejętności. Musisz jednak pogodzić się z myślą, że nie uda ci się namówić mnie do romansu. Jeśli nie chcesz zaakceptować służbowych ram naszych wzajemnych stosunków, to będę zmuszony zakończyć naszą współpracę.

Zapadła lodowata cisza.

Po chwili Susan zerwała się z kanapy i zacisnęła pięści. Oczy jej rozblęskły gniewem.

- Na co ty sobie pozwalasz! Jak śmiesz mówić do mnie takim tonem! Postaram się, żeby ta twoje cholerna książka nigdy nie została opublikowana.

- Jakoś to przeżyję - odparł Ted spokojnie.

Znał dobrze swoje wartości i był przekonany, że bez trudu znajdzie innego wydawcę. Tak nawet będzie lepiej, bo wreszcie będzie miał spokój od tej natrętnej kobiety. Nie będzie się już wtrącać do jego życia. Pojedzie jeszcze dzisiaj do „Three Feathers” i oświadczy się Marisie.

Podszedł do drzwi i otworzył je szeroko, nie spuszczając oczu z Susan.

Ku jego ogromnemu zaskoczeniu uśmiechnęła się do niego promiennie i miękim, ciepłym głosem powiedziała: - Dobranoc, kochanie. Pogładziła go czule po policzku. - Chyba rzeczywiście głupio się zachowałam... Ale nie będziemy się przecież kłócić z powodu takich drobiazków, prawda? Za bardzo się przecież lubimy.

Ted skinął głową zmieszany i odwrócił się zobaczyć, czy naprawdę wychodzi.

Tak, wyszła naprawdę, ale w drzwiach minęła się z... Marisą.

- Mariso, co ty tu robisz? - zbliżył się do niej z rozpostartymi ramionami.

Marisa odsunęła się na bok.

- Jak ci się udał wieczór? - spytała ironicznie.

Weszła do mieszkania i zanim zdążył coś powiedzieć, wybuchnęła.

- Jak mogłeś mi zrobić coś takiego! Zaufałam ci!

Ted był już u granic wytrzymałości. Przez ostatnie cztery tygodnie ciężko pracował. Nie tracił czasu na odpoczynek, bo chciał jak najszybciej wrócić do Marisy. A teraz stała przed nim zagniewana i nawet nie chciała się przywitać.

- O czym ty, u diabła, mówisz?! - krzyknął. - Opanuj się i powiedz jasno, o co ci chodzi.

Marisa nie chciała się jednak opanować. Gniew przesłonił jej wszystkie inne uczucia.

- Nie udawaj niewiniątka! Wmawiałeś mi, że nie znosisz Susan Mallory, a tymczasem zaprosiłeś ją do siebie natychmiast po powrocie! Miło wam było? Jaka ona jest w łóżku? Lepsza ode mnie?

Marisa drżała ze zdenerwowania.

- A więc przyszłaś tu tylko po to, żeby mi zrobić awanturę? - Ted zacisnął usta w wąską linię. - Mogłaś sobie oszczędzić drogi!

Wiedział, że powinien uspokoić Marisę i porozmawiać z nią rozsądnie, ale nie mógł się na to zdobyć. Był zbyt rozczarowany niesympatycznym powitaniem z jej strony.

- Masz rację. Niepotrzebnie tu przyjechałam. Niepotrzebnie też ci zaufałam.

Marisa była już przy drzwiach. Odwróciła się jeszcze:

- Nie jesteś lepszy od niego - syknęła. - Wszyscy jesteście tacy sami. Kupa niegodziwych kłamców.

- Wystarczy! - zawołał Ted zaciskając pięści. - Idź do diabła i żebym cię tu więcej nie widział!

Marisa trzasnęła drzwiami i wybiegła na dwór. Siłą powstrzymywała się od płaczu.

ROZDZIAŁ 10

O szyby pociągu uderzały krople deszczu. Szary ponury dzień znakomicie pasował do nastroju Marisy.

Wypiła kupioną przed chwilą kawę. Stare przysłowie, że czas leczy wszystkie rany, było prawdziwe. Po burzliwym rozstaniu z Tedem cierpiała niewypowiedzianie. Z czasem cierpienie zamieniło się w tępy ból, który łatwiej było znieść.

Do przedziału zajrzał konduktor.

- Jedzie pani do St. Yves? - zapytał uprzejmie.

Kiwnęła głową w odpowiedzi i podała mu bilet.

- O tej porze roku nie ma tam dużego ruchu. Turyści zjeżdżają się na wiosnę.

- Właśnie dlatego tam jadę - uśmiechnęła się Marisa. - Nie lubię tłoku.

To Jonathan poradził jej St. Yves. Wiedział, że jest wykończona i zaproponował jej gościnę w swoim letnim domku. Przyjęła tę propozycję z ogromną wdzięcznością, bo bardzo chciała się oderwać od wspomnień. W hotelu wszystko przypominało jej Teda.

Ostatni miesiąc był dla Marisy istnym koszmarem. Żyła jak w transie, nawet nie mogła sobie przypomnieć, jak trafiła do domu po kłótni z Tedem.

Nie odezwał się od tamtego dnia. Nie przyjechał, nie zadzwonił, nie próbował nawiązać z nią kontaktu.

Emma na szczęście powstrzymywała się od komentarzy. Zadała jej tylko kilka pytań, które Marisa zbyła nic nie znaczącymi odpowiedziami. Udawała, że nic sobie nie robi z zerwanych zaręczyn.

Najgorsze były święta. Tak się cieszyła na wspólną Wigilię z ukochanym mężczyzną... Nie miała już siły udawać. Rozchorowała się naprawdę i Wigilię spędziła w łóżku. Emma przyszła złożyć jej życzenia, ale nie zmuszała jej do wspólnej wieczerzy.

Biedna ciocia - westchnęła Marisa - jak bardzo się o mnie martwi.

Marisa nie chciała wcale, żeby ciotka spędziła święta przy jej łóżku. Miała przecież męża i to nim powinna się zająć przede wszystkim.

Cały dzień leżała w łóżku czekając na cud. Tak bardzo pragnęła, żeby Ted przyjechał i żeby sobie wszystko wyjaśnili.

Ale cud się nie zdarzył.

Pociąg mknął przed siebie, mila za milą pokonywał drogę. Marisa przestała rozpamiętywać przeszłość. Mimo woli dotknęła dłonią brzucha. Rosło w nim jej dziecko. Jej dziecko! Ted nigdy się nie dowie, że to i jego dziecko.

Ciotce też nie powiedziała. Marisie należał się Oskar za aktorskie osiągnięcia w udawaniu, że nic się nie stało.

Niedługo wszystko jej powiem, obiecała sobie.

Pobyt w Kornwalii chciała wykorzystać do spokojnego zastanowienia się nad swoją przyszłością.

Na szczęście Jonathan sprzedał jej ostatni obraz za o wiele wyższą sumę, niż się spodziewała. Wstąpiła do niego przy okazji wizyty u lekarza, który potwierdził jej ciążę.

Jonathan od razu zauważył, że coś jest z nią nie tak. Spytał, czy mógłby w czymś pomóc, ale Marisa pokręciła tylko głową w milczeniu. Wtedy zaoferował jej pobyt w jego domku w St. Yves. Zachował się jak prawdziwy przyjaciel. Nie zadawał niepotrzebnych pytań, nie wrywał się z własną opinią, tylko rzucił koło ratunkowe. Była mu za to wdzięczna.

Późnym popołudniem pociąg wjechał na dworzec w St. Yves, a pół godziny później Marisa otwierała już drzwi do domku Jonathana. Był wprawdzie nieduży, ale wyposażony we wszelkie zdobycze cywilizacji.

Wieczór spędziła Marisa na wypakowywaniu rzeczy. Nie miała ich dużo, więc uporała się z tym szybko.

Gdy zmęczona znalazła się w łóżku, usłyszała szum fal w zatoce. Jaki to uspokajający dźwięk, zdążyła pomyśleć i natychmiast zasnęła.

W pierwszy dzień nowego roku Marisa zadzwoniła do Emmy z życzeniami i informacją, że ma się dobrze i że jeszcze trochę chce pobyć sama. Ciotka nie pytała jej, o dziwo, o nic. Powiedziała tylko, że Marisa może zawsze na nią liczyć. Jak to dobrze mieć taką ciotkę, pomyślała Marisa.

Niezależnie od pogody Marisa codziennie spacerowała plażą wzdłuż wybrzeża. Szum oceanu koił jej nadszarpnięte nerwy. Zaraz po śniadaniu szła na przechadzkę. Potem malowała, jadła obiad, znowu malowała, a wieczorem czytała, lub patrzyła w ogień na kominku.

Ten tryb życia bardzo jej odpowiadał. Samotność wcale jej nie doskwierała, choć jedyną osobą, z którą rozmawiała, była ekspedientka w sklepie spożywczym. Odzyskała wewnętrzny spokój.

Tego dnia poszła podziwiać zachód słońca. Zdecydowała się urodzić dziecko. Lekarz, wiedząc, że jest niezamężna, podsunął jej ostrożnie możliwość oddania dziecka do adopcji. Nie, Marisa chciała mieć dziecko. Instynkt macierzyński był w niej teraz niezwykle silnie rozwinięty.

Decyzja o urodzeniu i zachowaniu dziecka były dla niej momentem przełomowym. Jej stan psychiczny znacznie się poprawił. Zaczęła już nawet snuć plany na najbliższe lata.

Mogłaby mieszkać w St. Yves na stałe. Jonathan byłby szczęśliwy, gdyby ktoś zechciał wynająć jego dom. Praktycznie go nie potrzebował.

Poprosi Emmę, żeby jej wypłaciła należną część udziałów hotelowych. Będzie się utrzymywała z tych pieniędzy i, oczywiście z malowania.

Marisie nawet nie przyszło do głowy, że mogłaby poprosić Teda o pomoc. Oszukał ją, nie odezwał się ani słowem, więc pewnie i dziecko byłoby dla niego dosyć obojętną sprawą.

Nadal nie wiedziała, jak powiedzieć ciotce o ciąży. Emma z pewnością nie będzie zachwycona, ale przynajmniej jej pomoże.

Marisa wróciła do domu przeświadczona, że wszystko się dobrze ułoży.

Ted zaparkował samochód przed hotelem. Przez całą drogę powtarzał sobie, że niepotrzebnie traci czas, ponieważ znowu nie uda mu się spokojnie porozmawiać z Marisą.

Wyszedł z samochodu, wszedł do holu i zatrzymał się słysząc głosy dochodzące z jadalni.

- Ted! - Emma już go zobaczyła i wybiegła się przywitać. Przez chwilę panowało między nimi nieprzyjemne milczenie.

- Chciałbym zobaczyć się z Marisą - przerwał je w końcu Ted.

- Niestety, nie ma jej tu.

- A gdzie jest?

- Nie wiem - odparła Emma, ale widząc, że Ted jej nie uwierzy dodała szybko. - Naprawdę. Powiedziała tylko, że musi wyjechać. Dzwoni do mnie co jakiś czas, żeby powiadomić, że wszystko w porządku. Nie mówi jednak, gdzie jest.

- Kiedy wróci? - Ted pobladł nagle. W ogóle nie wyglądał najlepiej. Głębokie bruzdy wokół ust i sińce pod oczami świadczyły o bolesnych przeżyciach. Emmie zrobiło się go żal.

- Proszę cię, Emmo, powiedz mi, gdzie ona jest. Muszę się z nią zobaczyć!

- Hmmm - zaczęła Emma ostrożnie - myślę, że Marisa może być w Kornwalii.

- W Kornwalii? - Ted podchwycił szybko.

- Tak, konkretnie zaś w St. Yves.

- A po co tam pojechała?

- Widzisz, Ted, Marisa była ostatnio jakaś taka przygnębiona. Nie chciała mi się zwierzyć, ale widziałam, że ma jakiś kłopot. Powiedziała mi, że potrzebuje ciszy i spokoju. Mieszka w domku Jonathana nad brzegiem oceanu. Wiem to zresztą od niego, nie od niej.

- Masz adres tego domku? - Ted patrzył na Emmę błagalnie.

- Znajdziesz go w notatniku Marisy w najwyższej szufladzie sekretarzyka.

Ted pobiegł na górę przeskakując po dwa stopnie.

W pokoju Marisy panował okropny bałagan. Widocznie Marisa pakowała się w pośpiechu. Z szafy wyglądał czarny pantofelek. Ted schylił się machinalnie i wsunął go do środka.

Zauważył przy tej okazji, że o wewnętrzną ściankę szafy oparty jest jakiś obraz olejny. Wyciągnął go zaciekawiony.

To był jego portret namalowany przez Marisę. Poczuł, że dławi go wzruszenie. Musiał ją odnaleźć, porozmawiać z nią, wyjaśnić wszystko. Diabli nadali wtedy tę wizytę Susan. Od początku wiedział, że nie czeka go nic dobrego z jej strony.

Powiedzieli sobie tamtego wieczoru kilka niewybaczalnych rzeczy, ale przecież się kochali. Jego portret pędzla Marisy najlepiej świadczył o jej uczuciach.

Odstawił obraz do kryjówki i zamknął starannie drzwi szafy. Poczeka, aż mu go sama wręczy. Przekona Marisę, że kocha ją ponad wszystko.

Otwierał jedną po drugiej szuflady sekretarzyka, ale nigdzie nie mógł znaleźć notatnika. W ostatniej szufladzie wyczuł coś sztywnego. To, co wyciągnął, nie było notatnikiem, tylko jakąś broszurą. Chciał już ją schować z powrotem, gdy nagle zauważył tytuł. Nie chciał wierzyć własnym oczom.

„O czym przyszła matka wiedzieć powinna” przeczytał na głos. O czym przyszła matka wiedzieć powinna?

Usiadł zaszokowany na łóżku Marisy. Nie mógł oderwać wzroku od napisu na tytułowej stronie okładki. Dlaczego Marisa trzymała u siebie poradnik dla przyszłych matek?

Jęknął uświadamiając sobie prawdę. To o tym chciała mu powiedzieć tamtego wieczoru! Zrozumiał, że gniew Marisy nie dotyczył obecności Susan, tylko jej nieoczekiwanego zajścia w ciążę. To właśnie nazwała nadużyciem zaufania.

Znalazł notatnik z adresami w kilka sekund i pognął schodami w dół. Krzyknął Emmie w biegu „do widzenia” i wypadł na dwór.

Jechał szybko rozmyślając intensywnie. Jeśli Marisa była w ciąży, to tylko on mógł być ojcem dziecka. Nikt inny nie wchodził w grę.

Klął w duchu własną głupotę. Zarzuty Marisy dotknęły go wtedy tak bardzo, że uniósł się ambicją. Zachował się niegrzecznie wobec Marisy. Ona też nie była uosobieniem uprzejmości. Wiedział już, że miała prawo do nadwrażliwości, jak każda ciężarna.

Celowo trzymał się z dala od Marisy przez cały ten czas. Chciał zyskać dystans do ich związku, chciał wszystko spokojnie przemyśleć.

Co za osioł ze mnie! - pomyślał zły, że nie zorientował się w sytuacji i zostawił Marisę na pastwę losu.

Ted dotarł do St. Yves późnym wieczorem. Podróż była długa i nużąca, ale nie czuł się zmęczony. Powoli jechał przez miasto, aż znalazł domek Jonathana.

Zaparkował samochód i zapukał do drzwi.

Żadnej reakcji. Może pukał za cicho?

Zastukał ponownie, tym razem głośniejsze. Wreszcie usłyszał kroki.

- Kto tam? - usłyszał głos Marisy.

Ted odetchnął z ulgą.

- To ja - odrzekł nieco schrypniętym głosem.

Drzwi otworzyły się powoli i zobaczył ją. Patrzyli na siebie w milczeniu. Marisie wydawało się, że śni. Automatycznym gestem zaprosiła Teda do środka.

- Co ty tu robisz? - wykrztusiła.

- Przyjechałem porozmawiać z tobą - powiedział ostrożnie.

Wyciągnął do Marisy ręce na powitanie, ale odsunęła się w bok.

- Nie wydaje mi się, żebyśmy mieli sobie coś do powiedzenia. Posłałeś mnie do diabła i to wystarczy. - W głosie Marisy brzmiała gorzkość.

- Mariso - objął ramieniem jej szczupłe plecy i delikatnie przyciągnął do siebie.

- Taki byłem wściekły, Mariso! Nie mogłem się pohamować. Po czterech tygodniach wytężonej pracy i podróży samolotem byłem tak wykończony, że marzyłem tylko o tym, żeby się przespać. Załedwie zamknąłem za sobą drzwi, już pojawiła się Susan, a zaraz po niej ty. Najpierw ona mnie zdenerwowała, a później ty.

Marisa chciała uwolnić się z objęć Teda. Nie mogła znieść dotyku jego rąk.

- Nie - zawołała z rozpaczą - nie mam zamiaru tego słuchać!

Ted posadził ją siłą na tapczanie.

- A właśnie, że mnie wysłuchasz, kochanie. Musimy sobie wreszcie wszystko wyjaśnić. Gdybyś mi bardziej ufała, nie wynikłoby między nami tyle problemów.

- Jakim prawem mówisz o zaufaniu?! Ty chyba nie wiesz, co to słowo znaczy! Prosiłeś, żebym ci zaufała. Zrobiłam to i co?! To wszystko twoja wina. Powiedziałeś, żebym się nie martwiła, bo nic się nie może stać. Oszukałeś mnie!

Marisa była tak podniecona, że zapomniała nawet o wyrwaniu się z ramion Teda.

- Posłuchaj, kochanie. Pokochałem cię od pierwszego wejrzenia. - Spojrzał w jej błękitne oczy, w których lśniło morze niewypłakanych łez.

Marisa dygotała ze zdenerwowania. Wreszcie nie wytrzymała i wybuchnęła głośnym płaczem.

- Nie płacz, maleńka - uspokajał ją gładząc po jasnych włosach.

- Mariso - spytał, gdy przestała szlochać - jesteś w ciąży?

- Tak - odpowiedziała cicho. - Dlatego byłam taka wściekła. Myślałam, że będziesz uważał, tak, jak mnie o tym zapewniałeś.

- Nie oszukałem cię, Mariso, a jeśli nawet, to nieświadomie. Widzisz, byłem przekonany, że nigdy nie będę miał dzieci. Żyłem przez dwa lata z pewną kobietą. Przy rozstaniu powiedziała mi, że chciała mieć ze mną dziecko. Ponieważ miała już dziecko z kimś innym, doszedłem do wniosku, że to moja wina.

Milczeli przez chwilę.

- Skąd wiedziałeś, że spodziewam się dziecka? - spytała Marisa.

- Emma posłała mnie do twojego pokoju, żebym sobie odszukał adres domku Jonathana. W jednej z szuflad znalazłem poradnik dla przyszłych matek. To było jak rażenie piorunem. W mgnieniu oka zrozumiałem wszystko. Chcę, żebyś została moją żoną i to zaraz, natychmiast. Najlepiej jutro rano.

Marisa uśmiechnęła się słabo.

- Och, Ted... jesteś pewien, że tego chcesz? Nie musimy się pobierać tylko dlatego, że jestem w ciąży.

- Właśnie, że tak. Kocham cię i dzięki tobie zostanę ojcem! Czy ty rozumiesz moje szczęście, Mariso? Ja już... przecież zrezygnowałem z marzeń o dzieciach. W lecie będziemy tulić do siebie słodkie, małe stworzonko o nazwisku Lawrence. Jak mu damy na imię?

- Skąd wiesz, że to będzie on? - uśmiechnęła się Marisa.

- Bo wiem - odparł Ted tajemniczo. - Mamy zresztą jeszcze dość czasu, żeby się zastanowić nad imieniem dla naszego synka. Teraz powiedz mi, jak ty się czujesz? Wiem, że początek ciąży może być bardzo dokuczliwy.

- Chyba już mam za sobą ten najgorszy czas. - Marisa wzruszyła się troską Teda.
- Dobrze mi zrobił pobyt w Kornwalii. Samotne spacerunki brzegiem morza pozwoliły mi odzyskać równowagę wewnętrzną.

- Czyli dobrze, że nie odezwałem się do ciebie wcześniej. Instyktownie czułem, że potrzebujesz czasu, żeby zrozumieć, jak bardzo się kochamy. Mariso, ostatnie tygodnie były dla mnie istnym piekłem. Życie bez ciebie nie miało w ogóle żadnego sensu.

- Ja też się podle czułem, Ted...

- Ale, ale, nie odpowiedziałaś wcale na pytanie, czy za mnie wyjdiesz? - przypomniał sobie Ted.

- Przecież mnie o to nie spytałeś. Oświadczyłeś tylko, że się ze mną chcesz ożenić.

- Masz rację, przepraszam, już się poprawiam. Mariso - przybrał uroczystry ton głosu klękając na jedno kolano przed matką swego dziecka. - Kocham cię i pragnę, żebyśmy wspólnie szli przez życie. Czy chcesz zostać moją żoną?

- Chcę, chcę, bardzo chcę! - zawołała Marisa śmiejąc się i płacząc na przemian. - O niczym innym nie marzę!

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała w usta.

Ted poczuł, że natychmiast musi dać wyraz swej miłości do Marisy.

Odsunął ją delikatnie, położył na tapczanie i sam do niej dołączył.

- Tak za tobą tęskniłem, maleńka - szeptał pieszcząc jej smukłe ciało.

- Ted...

- Nie bój się, nie zrobię ci krzywdy, ale muszę cię teraz kochać. Rozumiesz to?

- Tak i sama tego chcę.

Rozebrali się błyskawicznie i przywarli do siebie nagimi ciałami, całując się i pieszcząc wzajemnie.

Byli zbyt podnieceni, żeby ciągnąć w nieskończoność grę wstępna. Wszedł w nią z największą ostrożnością.

Marisa natychmiast dopasowała się do jego rytmu.

- Kocham cię, kocham cię, kocham cię... - powtarzał Ted gorąco.

Wspólnie osiągnęli szczyt rozkoszy i opadli zmęczeni na łóżko. Po chwili Ted pochylił się nad Marisą, pogładził dłonią jej płaski jeszcze brzuch i pocałował ją w pepek.

- Jak się czujesz, Mariso?

- Fantastycznie. Nie pamiętam, kiedy się tak czułam. I nie patrz na mnie takim przestraszonym wzrokiem. Dziecku nic się nie mogło stać. Dopiero pod koniec ciąży zaleca się przerwanie współżycia.

- Wiesz to z broszury „O czym każda matka wiedzieć powinna”?

- Dokładnie tak.

- To świetnie się składa, bo znowu mam na ciebie ochotę.

- Poczekaj trochę, chcę ci coś powiedzieć. Przygotowałam dla ciebie prezent pod choinkę. Jest w hotelu. Chciałabym ci go dać i obwieścić cioci radosną nowinę.

Wróćmy jutro do „Three Feathers”, dobrze?

- Zrobimy, jak zechcesz, Mariso. - Ted pocałował ją w czoło.

Wiedział, czym chce go obdarować, ale nie chciał jej psuć zabawy. Jutro odegra zaskoczenie i wszystko będzie w porządku.

- Mariso?

- Tak?

- Czy powiedziałaś mi, że zostanę ojcem, gdybym tu nie przyjechał?

- Nie wiem. Być może doszłabym kiedyś do wniosku, że masz prawo o tym wiedzieć.

- Mówiliśmy zdaje się o prezentach gwiazdkowych...

- Tak - Marisa nadstawiła ucha. - Czy ja może też coś dostanę?

- Ach, te baby, zawsze łase na prezenty - roześmiał się Ted, wyjął z kieszeni marynarki małe aksamitne pudełeczko i podał je Marisie.

- To dla ciebie, maleńka.

Marisa otworzyła wieczko i ujrzała cudowny pierścionek z jednym wielkim brylantem.

- Ted! - krzyknęła radośnie zaskoczona. - To musiało być warte majątek!

- A czy ty nie jesteś warta majątku? - odparł Ted wkładając jej pierścionek na palec.

